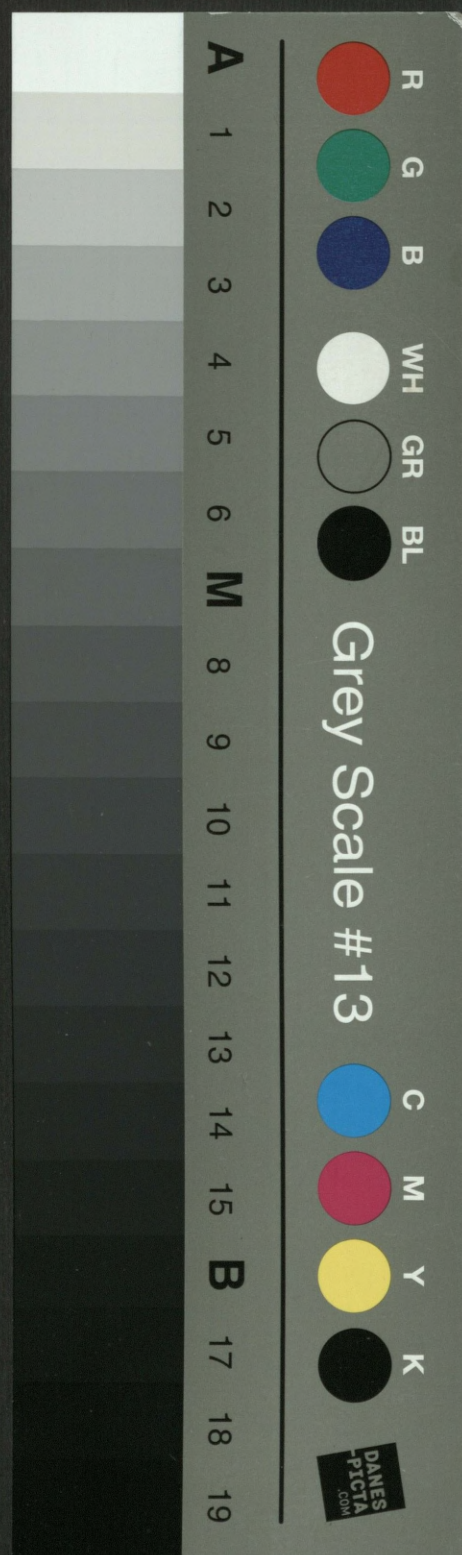








W Y D A W N I C T W O „D E M O S”

I. STANISŁAW THUGUTT: W Obronie Parlamentaryzmu.

W przygotowaniu:

II. STANISŁAW POSNER: Prawo a Państwo.

III. EUGENJUSZ ŚMIAROWSKI: O Sądy Polskie.

IV. DR. Z. ALIŃSKI: Teorje Faszyzmu.

V. LUDWIK CHOMIŃSKI: Jednostka w Działalności Publicznej.

S K Ł A D Y G Ł Ó W N E

WILNO — POLSKA Drukarnia Nakładowa „LUX” — PORTOWA 7
WARSZAWA — DOM Książki Polskiej, PLAC TRZECH KRZYŻY 8

WYDAWNICTWO „DEMOS”

I

STANISŁAW THUGUTT

W OBRONIE PARLAMENTARYZMU



W A R S Z A W A — W I L N O

WYDANIE I Druk LUDWIKA CHOMIŃSKIEGO

1

9

2

8



10706/1

POLSKA DRUKARNIA NAKŁADOWA „LUX”, WILNO

RATOWAĆ z odmętów zapomnienia okruchy, jakimi mimo wszystko są zawsze artykuły dziennikarskie, wymaga i nieco odwagi i kilku słów usprawiedliwienia. Zdaję sobie całkowicie sprawę, że te rozmyślania czynnego polityka, jakimi pozwalam sobie zaprzętać uwagę czytelnika, są w najlepszym wypadku tworem o całkiem przemijającej wartości. Pisane pod kątem widzenia dnia, rzucane w ogień walki, nie roszczą pretensji ani do ogarniania całokształtu zagadnień państwowych, ani do utrwalania prawd wiecznych. Jeżeli mimo wszystko chciałbym przedłużyć im nieco życie przez przedrukowanie ich w książce, skłaniają mnie do tego następujące powody.

Wszystkie te tworzone bez planu fragmenty mają pewną myśl wspólną, która je wiąże jak nić. Tą myślą jest walka o zdrowy ustrój Państwa. Ściślej powiedziawszy, o pewien typ ustroju, który dla Polski uważam za najbardziej wskazany. Nie jestem w tej

sprawie neutralnym cudzoziemcem, ani dostawcą schematów politycznych, który ma kilkanaście kompletów do wyboru na sprzedaż. Jestem gorącym i zdecydowanym zwolennikiem tego typu ustroju, który naszkicowała nasza Konstytucja, który rozwinąć, udoskonalić i utrwalić powinno w Polsce życie. Mam na myśli ustrój republiki parlamentarnej.

Ustrój ten, źle rozumiany w ciągu kilku pierwszych lat, co gorsza, nadużywany niekiedy dla celów korzyści partyjnej czy osobistej, po reakcji, która nastąpiła w roku ubiegłym, jest od tej pory stale podważany, jeżeli nie wręcz niszczony. Sposobem zgoła bezprzykładnym z budowli wzniesionej przez Konstytucję wynosi się albo rozbija kamień po kamieniu, nie mówiąc już o tem, że się gwoździami zabija drzwi wejściowe, nie pozwalając korzystać z gmachu. Dzieje się to wśród obojętności powszechnej, wśród powszechnego nierozumienia zasad i wartości systemu. Społeczeństwo, odwykłe od sztuki rządzenia, ogłupione niewolą, wyścieńczone wojną, zdenerwowane przez niedostatek, godzi się na wszystko, byle nie słyszeć zgrzytów mechanizmu niedostatecznie uregulowanego. Wzory obce, mało znane, wydają się zbyt trudne do zastosowania. Ludzie odzwyczajają się działać, myśleć i chcieć. W powietrzu szerzy się jakaś niezdrowa mistyka, jakieś bezmała oczekiwanie cudów od działań mężów wybranych.

Temu stanowi rzeczy starałem się przeciwdziałać szeregiem wystąpień. Przyznaję, wystąpienia te były natury raczej obronnej, raczej ograniczające się do chęci wytępienia w dyskusji nadmiaru nerwów, nieusprawiedliwionych zarzutów, na niczem nieopartych nadziei. Sympatjom i antypatjom, szalejącym dziś w mózgach polskich z siłą kultu religijnego w jego pozytywnej czy negatywnej postaci, starałem się przeciwstawić nieco racjonalizmu, bodajby w najbardziej prymitywnej postaci prostego i zdrowego rozsądku. Nie wyęźlałem natomiast bynajmniej sił w kierunku nowych gotowych systemów urządzania Państwa, które z dnia na dzień możnaby zastosować dekretem Prezydenta czy uchwałą Sejmu. Wierzę, że Polska z biegiem czasu po szeregu wysiłków, prób i walk dojdzie do własnego, swoistego systemu. Narazie niechby obce systemy umiała stosować i niechby się je nauczyła rozumieć.

Nauka, czy — jeśli kto woli — walka będzie trwała niewątpliwie długo. Czeką nas w niej niejedni jeszcze zawód, być może niejedna tragedia. Obawiam się chwilami, że budujemy Polskę drogą eliminowania głupstw i że został ich jeszcze przed nami długi, bolesny szereg. O sile i zwartości Państwa stanowić będzie za parę dziesiątków lat ten kapitał doświadczenia, jaki zdołamy zgromadzić. Doświadczenie to składać się musi z szeregu prawd jasnych i prostych, będących

własnością powszechną, jak własnością powszechną ma być Rzeczpospolita i wszystko, co jej tyczy. Tych właśnie prostych prawd starałem się doszukiwać w każdej sytuacji i w każdym wypadku dnia. Mogłem się mylić, ale ci, którzy się zgadzają z moimi wnioskami, będą mogli tą drogą zebrać razem ze mną ten właśnie zapas doświadczenia, bez którego nie można ani żyć z sensem, ani trwale budować.

Stanisław Thugutt

W listopadzie r. 1927.

PRZESILENIE, KTÓRE TRWAŁO 3 GODZINY

PRZESILENIE, „które trwało trzy godziny”, jak nam to triumfalnie usiłują wbić w głowę organy prawi-
cy, niewątpliwie zasługuje na najbaczniejszą, znacz-
nie dłuższą, niż czas jego trwania, uwagę. Tyczy się
to równie dobrze jego strony formalnej jak istotnego
znaczenia politycznego, któremi odróżnia się jaskrawo
od nieskończonego szeregu przesileń, jakich byliśmy
dotychczas świadkami.

Przedewszystkiem strona formalna. Pan premier,
a za nim ci, którzy się nim firmują, usiłują przekonać
nas, że ustąpieniu Rządu przeszkodził Pan Prezydent,
odmawiając przyjęcia zgłoszonej dymisji. Mówi się
o „dyscyplinie”, o spełnieniu twardego obowiązku,
o rozkazie wydanym i wykonanym. Zakrawa to na żart,
na źle udany żart. Ci panowie nie widzą najoczywi-
ściej różnicy pomiędzy dyscypliną, trzymającą w kar-
bach rekruta w koszarach, a dyscypliną obowiązującą
Prezesa Rady Ministrów, zapominając równocześnie,
że premier nie jest stypendystą, odslugującym okaza-
ne mu zaufanie. Konstytucja, mówiąc o mianowaniu i od-
woływaniu ministrów, nigdzie nie wspomina o prawie,

o możności nieprzyjęcia zgłoszonej przez ministra dymisji. Jeżeli przy mianowaniu premiera Prezydentowi przysługuje—dość wąskie zresztą—prawo wyboru człowieka, który przypuszczalnie potrafi zyskać zaufanie ciała prawodawczego, przy udzielaniu dymisji wola Prezydenta jest czysto formalna. Oczywiście, może i powinien Pan Prezydent w wypadkach wątpliwych dopomóc premierowi swoją radą, swoim doświadczeniem, autorytetem czynnika, stojącego poza obrębem walki, ostateczna decyzja leży jednak niewątpliwie w rękach i w sumieniu premiera.

Gdyby było inaczej, musielibyśmy wciągać z wielką szkodą dla Państwa w wir naszych codziennych swarów nieodpowiedzialną wedle Konstytucji osobę Prezydenta, wypuszczając z gry jedynie według zdrowego rozsądku odpowiedzialny czynnik — kontrasygnującego decyzję Prezydenta — premiera. Przykrem jest niewątpliwie tłumaczenie rzeczy, stanowiących elementarz prawa konstytucyjnego parlamentarnie rządzonej republiki; przykrzejszem — skoro dzieciom w szkołach powszechnych tłumaczy się Konstytucję — spotykać się z grubą jej nieznajomością u doktorów praw, sięgających po najwyższe godności Rzeczypospolitej.

*
* *

Gdyby p. premier, zamiast zasłaniania się nieodpowiedzialną osobą Prezydenta, powołał się na wolę popierającej go większości sejmowej, byłoby to godnem ubolewania poniżaniem autorytetu kierownika Rządu i kierownika opinii Sejmu, ale byłoby przynajmniej

bardziej zgodne z istotnym stanem rzeczy. Jest tajemnicą publiczną, w jaki sposób kilka miesięcy temu ściągnięto do Sejmu o późnej nocnej godzinie tworzącego Rząd p. ministra spraw zagranicznych i zniewolono go. Po kilku dniach bezpłodnych usiłowań i pełnych gorczy zawodów zmuszono go do asystowania przy urodzinach dziecka, któremu miał dać swoje nazwisko; obowiązki rzekomego ojcostwa trzeba było, być może, wykonać do końca. Tem niemniej nie byłoby sprawiedliwe kłaść na zmęczone barki p. Aleksandra Skrzyńskiego całkowitą odpowiedzialność za decyzje, których istotnymi autorami byli ci, którzy przewijając się przez salony Belwederu pomiędzy pierwszą a drugą bytnością premiera obalili ranną jednomyślną decyzję gabinetu podania się do dymisji. W interesie prawdy publicznej, w celu rozjaśnienia dyskusji, którą się rozmyślnie zaciemnia sofistyką niedorzecznego tłumaczenia Konstytucji, należy stwierdzić, że całkowita odpowiedzialność za bezprzykładne zakończenie „trzygodzinnego przesilenia” spada nie na decyzję Prezydenta, nie na bezwolne gesty premiera, którego się wynajmuje do 4 maja, ale na istotnych kierowników prawicy w osobach p. Stanisława Grabskiego i p. Wincetego Witosa.

Ci panowie liczą najoczywiściej na to, że znajdą wystarczające poparcie w Sejmie. Być może. Ich pomysły polityczne bywają zwykle nieszczęściem, często wstydem kraju; ich znajomość arytmetyki, natomiast, stoi dostatecznie wysoko, aby zasłużyć na stopień wystarczający. Jeżeli po kilku dniach odrzucają jak wyssaną

cytrynę pomoc p. Skrzyńskiego, zgłoszą się prawdopodobnie po dodatkowe uznanie za ratowanie parlamentaryzmu w Polsce. Sądzę, że nastał już najwyższy czas, abyśmy przestali zabawiać siebie i innych suchą formalistyką i od rachowania głosów na Sejmie przeszli do rachowania klęsk Polski i sił, jakie możemy przeciwstawić nasuwającemu się nieszczęściu.

*
* *

Zdaję sobie najzupełniej sprawę jak łatwo powyższej opinii przeciwstawić demagogiczny zarzut uznawania parlamentaryzmu tylko wówczas, kiedy nam — lewicy — jest to dogodnie. Z ludźmi zbyt wielkich ambicji i zbyt małego sumienia nie mam zamiaru podejmować dyskusji. Tym, którzy chcą rozumować chłodno i traktować spór polityczny uczciwie, wyznać muszę, że, będąc w zasadzie najgorętszym zwolennikiem systemu parlamentarnego i uważając wszelkie w tej chwili zamachy, dyktatury, łamania przeszkód siłą i szukania drogi naprzelaj za nieszczęście i obłęd, myślę, że rząd parlamentarny oparty na większości reprezentowanej przez pp. Witosa i St. Grabskiego jest prowokowaniem awantury, która i tak wali się na nas jak podmyty mur.

Nazwiska tych panów, którzy dziś chcą tworzyć Rząd, coś przecie mówią w Polsce. Pamiętać je będziemy tak długo, jak długo nie zginą ślady paktu lanckorońskiego, którego istotnej treści nie znamy do dziś dnia, ale o którym stwierdzić możemy conajmniej, że rozpętał waśń narodowościową w kraju, bił walutę

naszą ciosami obucha, rozdrapywał pomiędzy swoich wyznawców Państwo, traktując je jak łup, odsądzając resztę obywateli bezmała od prawa życia w Polsce. To wszystko działo się w roku dwudziestym trzecim, roku, który w porównaniu z chwilą obecną chciałoby się nazwać rokiem pogodnym.

Przypuszczać, że dziś w momencie daleko posuniętego rozkładu życia gospodarczego, rząd tak jaszkrawo partyjny, rząd zadrażnień społecznych i narodowościowych mógłby być balsamem kojącym, jest nie tylko szaleństwem ale megalomanią.

*
* *

Już zgórą sześć miesięcy temu pozwoliłem sobie stwierdzić z trybuny sejmowej, że nasz zegar dziejowy pokazuje raczej pięć minut po dwunastej, niż pięć przed dwunastą. Od tej pory tworzyliśmy rządy koalicyjne, które miały być zawieszeniem walki, a były zawieszeniem czynności, tworzyliśmy komisje i podkomisje, sekretne i bezpłodne, tworzyliśmy urzędowy optymizm, w który nikt nie wierzy — a zegar szedł.

Są ludzie, którzy mówią, że uszedł już bardzo dużo i że właściwie wskazówki jego stoją już na godzinie rewolucji, która być może nie wysypała się jeszcze nazewnątrz, ale zatrąła już krew w żyłach. Nie podejmuję się tego rozstrzygać. Pomiedzy rewolucją a stanem normalnym niema żelaznych drzwi, które wywała wybuch. Pomiedzy nimi leży cały szereg etapów przejściowych, i mniejsza o to, w którym z nich jesteśmy, skoro niewątpliwie znajdujemy się na pochyłości, po której zsuwamy się wdół. Nie przypuszczam

zresztą, żeby rewolucja mogła być u nas nazbyt gwałtowna, myślę tylko, że te kilka kresek przedrewolucyjnej gorączki, które mamy stale, wycieńczy najmocniejszy organizm i że my najmocniejszym organizmem nie jesteśmy.

Jesteśmy natomiast społeczeństwem, w którym rozprzegają się wszelkie więzy. Ci, którzy atakują z zaciekłością Sejm, raczą uwzględnić, że Sejm jest taki, jaka jest cała Polska. Zanikł wszelki w Państwie autorytet: Sejmu, Rządu, polskiego urzędnika i polskiego sądu, przede wszystkim polskiej gospodarki. Z niesłuchanego zapału, z jakim w roku dziewiętnastym zabieraliśmy się do budowania własnego domu, nie pozostało nawet szczątków. Strwożyła się i zmąciła dusza narodu. Traci wiarę w przyszłość, w swoją moc, w swoje prawo do życia. Stronnictwa martwieją w bezsensownych kalkulacjach partyjnych, albo sypią się w gruz, na których jak chwast płeni się coraz dziksza, coraz bardziej bezprzytomna demagogja. Inteligencję zabija nędza i strach. Chłop, który przed wojną był wielkim ugorem duszy narodowej, który w początkach istnienia Państwa budził się do życia z siłą żywiołowego zjawiska, kurczy się w sobie, przypada znowu do ziemi, próbuje odwieczną, wypróbowaną chłopską taktyką przeczekać zło. Jediną siłą, ujawniającą resztki życia i sił, są wyjątki z pośród inteligencji i robotnik, który ślania się z głodu.

Jediną grupą, która gra zimno i pewnie, gra na zniżkę, patrząc w karty sąsiadom, są komuniści. Głupstwem jest wyobrażanie sobie, że jest to zjawisko

sztuczne, podtrzymywane wrażym pieniądzem — ta zła siła rośnie ze swojego gruntu. I ta siła przyciąga już, opętuje i wsysa coraz większą ilość ludzi czystych, ludzi, którzy w ten szalony sposób chcą budować Polskę.

Tłum, który nie stracił jeszcze panowania nad sobą, traci resztki rozsądku. Po poddaszach i suterenach pełzają potworne podejrzenia, zachcianki, bajdy. Typowo przedrewolucyjne hasło „bij złodzieja”, podsyćcane skandalicznymi frazesami i jeszcze bardziej skandaliczną bezkarnością rozmaitego kalibru Pochrońców, znajduje coraz większe uznanie. Zamordowanie przez każdego uczciwego człowieka kilku złodziei uważa się za myśl przednią i przedziwnie prostą. Na wiecach ludowych monarchizm, faszyzm, komunizm i wogóle opozycja przeciwko wszystkiemu i wszystkim grają przedziwne harce...

*
* *

Na to wszystko lekarstwem ma być rząd „narodowy”. Ponieważ w skład jego weszliby prawdopodobnie w znacznej większości ludzie, należący do rozbitej koalicji, wolno o jego przyszłych czynach sądzić z czynów niedawnej przeszłości. Wolno spytać, czem okiełznałby rosnące bezecnie ceny chleba, skoro ich rząd uprzedni nie okiełznał. Zjawisko, nawiasem mówiąc, potworne, na które ani Rząd, ani prasa nie raczą zwrócić uwagi, należynej jednemu z najniebezpieczniejszych objawów anarchji gospodarczej. Czem powstrzymałby ucieczkę kapitału z kraju, ucieczkę

widoczną chociażby z różnicy pomiędzy bilansem handlowym a wpływem miesięcznym walut? Co przeciwstawiłby skutkom inflacji, która nadejść musi niezależnie od tego, czy program p. ministra skarbu mówi o tem mniej, czy bardziej otwarcie? Jak wyobraża sobie skutki pogromu inwalidów, redukcji urzędników i kolejarzy, zniżki płac? Przypuszczając nawet, że wszystkie te drakońskie środki są konieczne, jakimi środkami zdoła uśpić pacjenta, otwierającego jak najszerzej oczy na podział kredytów, zasilających przemysł i handel, na szturm krewnych i powinowatych politycznych do kas skarbowych, na nieco jednostronne, jednym słowem, ujmowanie kwestyj społecznych.

Obawiam się, że w umysłach niektórych zwolenników „narodowego kursu” głównem lekarstwem będzie bat. W każdym razie znamienne wynurzenia „Rzeczypospolitej” w jednym z numerów ubiegłego tygodnia mogą uspokoić najbardziej nawet trwożliwych o brak silnej władzy. Zapowiada się tam poprostu kulę w łeb nie tylko bolszewickim agentom, ale narodowym komunistom i „ryzykantom”, z myślą o których jak się zdaje artykuł był pisany. I to nie tylko „ryzykantom”, ale każdemu, kto im pomaga i nawet najbliższemu, tak, żeby nie zostało nawet nasienia. Możliwy te dość ordynarne majaczenia pominąć wzgardliwym milczeniem, gdyby nie trafiły one z wolą czy bezwoli w samo sedno sprawy. Bez kuli czy bez bata trudno będzie rządzić istotnie.

* * *

Mam p. Witosa za bardzo wyrachowanego człowieka i bardzo ostrożnego polityka. Otóż, jeżeli p. Witos na rok przed wyborami pali za sobą wszystkie mosty, wyjście socjalistów z koalicji uważa bezmała za drobiazg, nie zasługujący na wpisanie go do protokołu i broni koncepcji rządu „kadłubowego”, czyli poprostu Chjeno-Piaśta, to najwidoczniej p. Witos jest zdecydowany na rządy silnej ręki. Co do mnie bardzo lubię silną rękę, nienawidzę anarchji i podcinania Państwu korzeni, ale obawiam się, że ta silna ręka przy pomyślonych nieco kalkulacjach może być większem w stosunku do Polski „ryzykanctwem” niż to wszystko, czemu chce tak z kiepska po włosku palić w łeb autor artykułu w organie p. Korfantego.

Myślę też, że mimo wszystko jest jeszcze czas tych szaleństw nie robić. Myślę nawet, że w obecnej niesłychanie zawiślanej i zadrażnionej sytuacji lepiej wogóle nie tworzyć rządów parlamentarnych, ani z p. Witosem na prawo, ani z p. Witosem na lewo. Do leczenia parlamentaryzmu wrócimy jutro. Dziś przy tak silnej gorączce przestańmy szarpać chorego i wydzierać sobie z rąk kawał sukna całkiem zwietrzały.

25.IV.1926

WYWIAD W „KURJERZE PORANNYM”

CO PAN SĄDZI o sytuacji obecnej?—zapytaliśmy p. Stanisława Thugutta — — —

— Myślę — brzmiała odpowiedź—że brniemy coraz dalej w sprzeczności, których nie chcemy czy nie umiemy rozwikłać, i że w ten sposób wlecemy za sobą ciężar, który w pewnej chwili może się okazać ciężarem ponad nasze siły.

— W czym pan widzi te sprzeczności?

— Przedewszystkiem w koncepcji zasadniczej. Jest tajemnicą publiczną, że czynnikiem, regulującym w tej chwili bieg spraw w Państwie, jest wola jednego człowieka. Równocześnie utrzymuje się Sejm, który nie tylko ma prawo krytyki Rządu, ale prawo usuwania go bez żadnych apelacji poza odwołaniem się do wyborców. Być może, jest to oparte na przypuszczeniu, że Sejm nie ośmielił się uderzyć na Rząd. Otóż po pierwsze — ośmielił się dwukrotnie. Powtóre—wywieranie nacisku psychicznego przez postrach nie wydaje mi się środkiem dość pewnym, jeżeli się równocześnie przeciwnikowi — chociażby konającemu — pozostawia nabity pistolet w ręku. W dodatku walkę

prowadzi się tak, jakgdyby nie chodziło o złamanie czy zmuszenie do ustąpienia przeciwnika, ale o doprowadzenie go do najwyższej pasji. Ciosy sztyletem oddawna już zastąpiono przez ukłucia szpilką, a zamiast ryku dział coraz częściej słyszy się niezawsze smaczne spory o drobiazgi ceremonjału, o wątpliwości lingwistyczno-konstytucyjne, o niejasne miejsca Konstytucji, które potem stają się jeszcze bardziej mętne. W ostatecznym wyniku Sejm, który w końcu maja z nieopisanem zdumieniem odnalazł sam siebie przy ul. Wiejskiej, teraz jednomyślnymi niekiedy uchwałami odbija ataki Rządu. Ten ciężko chory organizm rzadko kiedy potrafi wyrazić, czego chce, ale umie jeszcze w dosyć dotkliwy sposób powiedzieć, czego nie chce.

— Sejm jednak już w maju był niczem...

— Nawet znacznie wcześniej niż w maju. Dla mnóstwa przyczyn, o których kiedyś możemy pomóc oddzielnie, Sejm wkrótce po urodzeniu zachorował na uwiąd starczy. Ale oplwać chorego, bić go batem po twarzy, strącać leżącego i potem posadzić na jednym z najwyższych miejsc Rzeczypospolitej — nie wydaje mi się trafną kuracją, zwłaszcza, kiedy przynajmniej formalnie oddaje się swój los w jego ręce i mimo to dalej grozi się batem. Twierdzą też, że nie jest to najlepszy sposób wychowywania narodu. Mogły być trzy mniej lub bardziej logiczne zakończenia wypadków majowych. Można było znieść Sejm, jako instytucję. Jestem niezachwianym zwolennikiem systemu rządów parlamentarnych i myślę, że toby się zemściło wkrótce straszliwą katastrofą — ale toby było

logiczne. Można było zarządzić natychmiastowe wybory. W każdym razie szanse wyborcze rządu były podówczas większe, niż dzisiaj. Można było zresztą dokonać istotnej pacyfikacji, godząc się ze swoimi przeciwnikami. Nie poszło się żadną z tych dróg, a tą, którą się wybrało, jest, obawiam się, nastawieniem spraw na automatyczny zatarg.

— Kiedy, jak pan myśli, odbędą się wybory?

— Tego nikt nie wie. Zbyt wiele czynników nieobliczalnych jest w grze. Na jednym z posiedzeń może Sejm naprzykład jednomyślnie czy zwykłą większością uchylić dekret prasowy. W czasach i warunkach normalnych pociągnęłoby to za sobą ustąpienie Rządu. U nas mówi się o wydaniu przez Rząd innego, prawie analogicznego dekretu. Parlament francuski czy angielski przerwałby tę miłą grę towarzyską, wyrażając Rządowi wyraźną nieufność. W Polsce jednak logika obowiązuje, zdaje się, tylko przy egzaminie szkolnym. Może tu zresztą wchodzi w grę inny wzgląd, nakazujący unikać starć ostatecznych, skoro nikt nie jest gotów do rozgrywki. Ale najmocniejszą może się okazać logika faktów, która się sama narzuci. Przy tem wszystkiem gra w piłkę ręcznym granatem nie wydaje mi się zabawą bezpieczną.

— Jak pan ocenia szanse wyborcze?

— Wszędzie i zawsze jest to zagadką do ostatniej chwili. W kraju, gdzie na tle niskiej kultury politycznej ścigają się wszystkie odmiany demagogii, zagadka jest trudniejsza niż gdziekolwiek. Wyborca zresztą musi być w tej chwili osobiwie zdeзорjowany.

Tworzą się nowe grupy, rzuca się nowe hasła, stronnictwa przechodzą silny ferment wewnętrzny. Stare formy ustrojowe podgryza się lub szarga, nowe wprowadza się tytułem precedensu małutkimi tylnymi drzwiczkami. Wszystko to wygląda na jakąś maskaradę, na której maski obrońców demokracji i parlamentaryzmu noszą wczorajsi zwolennicy metod gwałtu, radykalne zaś stronnictwa republikańskie uprawiają kult jednostki i składają hołd sile. Szef rządu milczy, nawet gestem nie wskazując drogi, którą iść zamierza. Inni ministrowie mówią za to niekiedy zbyt wiele, mniej dbając o to, że każdy z nich mówi co innego, a niektórzy zaprzeczają sami sobie z dnia na dzień. Nie widać żadnego ośrodka, regulującego działalność Rządu, sprowadzającego rozbieżności do wspólnego mianownika. Wypadki majowe, dokonane w imię leczenia Polski z marazmu, gasną dziś w jakiejś przykłej małości spraw, sporów i sposobów. Wszystko jest niejasne, niepewne. Jakże pan chce, żeby w tych warunkach bawić się w przepowiednie. Trzebaby po-prześcić na linjach bardzo ogólnych.

— Proszę o te linje ogólne.

— Przyszły Sejm będzie bardzo trudny. Skomplikuje go od pierwszego dnia sprawa mniejszości, o którą nikt nie dba, która się paczy, psuje, miejscami przechodzi w stan zapalny. Zamiast spokojnych i względnie lojalnych Żydów przyjdą Ukraińcy lwowscy, a kiedy ci wezmą batutę do ręki, gra pójdzie nie o pacierze. Wobec pokutujących w polskich głowach teoryj endeckich o niemożności dopuszczania

mniejszości do naszych spraw państwowych, utworzenie większości może się znowu okazać bardzo trudne, zwłaszcza, jeżeli sprowokuje się te mniejszości do zajęcia stanowiska jawnie antypaństwowego. W ten sposób Sejm, rozdarty antagonizmami nie do pogodzenia, będzie pozbawiony regulatora i przez to samo przestanie pełnić swe funkcje. Potem przyjdą spory z Rządem o kompetencje, w których nie wiem, ile będzie sumienia i rozumu, ale w których napewno mniej będzie niedociągnięć i strachu.

Jedynym na to wszystko skutecznym sposobem byłaby znaczna i pewna większość rządowa. Utworzenie takiej większości uważam za jeden z głównych celów polityki polskiej, jeżeli wogóle mamy pozostać przy systemie rządów parlamentarnych, nie puszczając się na znacznie trudniejsze pomysły dyktatury, czy nawet rządów prezydenjalnych. Tymczasem idzie się, szukając tej większości, krętymi i dalekimi drogami. Spróbujmy porachować. Otrzymać obecnie polskich posłów z Wołynia można tylko przez utworzenie kuryj narodowościowych, co pogłębiłoby przepaść między nami a Ukraińcami i odepchnęłoby nas od demokracji europejskiej. Nie o wiele inaczej wyglądać będą stosunki w Małopolsce Wschodniej, a zwłaszcza na ziemiach północno-wschodnich, gdzie przytem do podziału nielicznych mandatów polskich zgłoszą się endecy nie bez szans powodzenia. W Małopolsce Zachodniej byłoby błędem lekceważyć wpływy „Piasta“, w Wielkopolsce tylko chyba P. P. S., będąca już właściwie poza granicami obozu rządowego, mogłaby

wybić jakie takie szczyby w stanie posiadania prawicy. Liczyć na dysonanse w obozie ostatniej przedmajowej większości nie jest rachunkiem pewnym, osłabienie stronnictw daje, jak dotychczas, wyniki przeważnie na lewicy. Użycie do naganki „jaśnie wielmożnych” przy osaczaniu endecji dało narazie odsunięcie się P. P. S.; dalsze skutki są niewątpliwe. Jako czynnik wyborczy zresztą, te rzekome najdojrzalsze warstwy narodu, które się na placu boju pojawiły od razu w ośmiu oddziałach, są wartością znikomą. Same nie mogą zdobyć ani jednego mandatu. Wsadzone na plecy stronnictwom ludowym złamią im grzbiet pacierzowy. Mogą conajwyżej zamknąć worki dla kas wyborczych prawicy, ale u nas w Polsce wybory robi się jeszcze za bardzo małe pieniądze. Co do kleru, nie wyobrażam sobie, żeby on dał pomoc „masonskiemu” rządowi inaczej jak za cenę straszliwej niewoli dusz. Proszę przytem zauważyć, że jeżeli stronnictwa prawicy znajdują się prawdopodobnie w dniu wyborów w jednym łożysku, na lewicy grupy skrajne—komuniści w mieście, Niezależna Partja Chłopska na wsi — znajdują się napewno poza nawiasem. Jeżeli chodzi o N. P. Ch., zdobędzie ona być może niewiele mandatów, ale porobi ciężkie spustoszenia w sąsiadujących z nią grupach ludowych. Wogóle największym produktem ubocznym okresu pomajowego wydaje się dotychczas wzrost komunizmu.

- Poprawa sytuacji gospodarczej może to zmienić.
- Zapewne. Jakkolwiek zwracam pańską uwagę, że komunizm i dążenia odśrodkowe mniejszości rosną,

pomimo dokonanej pewnej poprawy. Gospodarujemy nieco przyzwoiciej i troszeczkę oszczędniej, przytrzymaliśmy walącego się złotego, zwiększyli pokrycie, spłacili trochę długów, zrównoważyli budżet, zwiększyli wywóz, zmniejszyli bezrobocie. Niestety, w sprawie najbardziej kapitalnej, w sprawie drożyzny raczej cofamy się. Mimo wielkich marzeń o samowystarczalności—nikt dziś nie jest samowystarczalny—nie wiem czy istotnie zwycięstwo w walce z drożyzną da się osiągnąć bez ożywienia życia gospodarczego przez napływ obcego kapitału. Obawiam się jednak, że kapitał ten długo jeszcze nie będzie chciał przyjść do kraju, w którym wszystko jest nieustalone, od formy Rządu zaczawszy a skończywszy na planach gospodarczych.

W dziedzinie ustrojowej mamy tymczasem narodziny drugiego faszyzmu. W dziedzinie gospodarczej Rząd zaczyna mówić bardziej wyraźnie o opieraniu się na wsi, ale poprzestaje na zadowoleniu, płynącym z pewnej poprawy konjunktury i wysokich cen produktów rolnych. Nie podejmuje się natomiast wielkiej planowej akcji dla utworzenia z tej zwłaszcza wsi, na której mieszka chłop, wielkiego rezerwuaru sił i zapasów narodowych. Dość będzie jednego szczegółu. W budżecie Min. Rolnictwa pozycja na pozaszkolną oświatę rolniczą wynosi 75,000 zł. Na cały rok i na całe Państwo. Ta cyfra mówi za wszystko.

— Jaki więc bilans ogólny?

— Jeszcze nie czas na zamykanie rachunków. Ale można już rzucić okiem wstecz za siebie. W końcu

kwietnia, po ustąpieniu P. P. S. z koalicji, pisałem w waszem piśmie, że władza powinna się znaleźć przejściowo w rękach rządu pozaparlamentarnego. Przyznaję, że myślałem podówczas o Rządzie Piłsudskiego, albo kogoś popartego jego autorytetem. Rząd ten powinien był podjąć dzieło istotnej naprawy Rzeczypospolitej. Doprowadziwszy do nadania Prezydentowi prawa rozwiązywania ciał ustawodawczych, winien był podnieść wartość moralną i roboczą Sejmu przez narzucenie mu jasnego i twórczego programu. W dziedzinie gospodarczej po ukróceniu marnotrawstwa, winien był nałożyć uzdę szalejącym spekulantom i pogłębić źródła produkcji, idąc zwłaszcza z wielką robotą inwestycyjną na wieś. Nie potrzebował być partyjnym, ale nie mógł przecież zapominać, że Polska ma pewną strukturę społeczną. Załatwiając rzecz jedną z najpilniejszych, rzuciłby przynajmniej podwaliny pod załatwienie sprawy narodowościowej. Tworzyłby prawo i zmuszał do szanowania praw. Niszczyłby partyjniactwo i dopomagał do powstania wielkich, twórczych, mających poczucie odpowiedzialności, stronnictw. Wydobywałby na powierzchnię życia ludzi wartościowych, gdziekolwiekby ich znajdował. Przyuczałby żyć kraj swoim rozumem i swojemi siłami bez nadmiernej opieki biurokratycznej. Gdyby upadł na Sejmie, co nie jest bynajmniej pewne, mógł iść jako grupa prywatna, organizując opór moralny przeciwko nierządowi. Moment był odpowiedni. Toż głównym kapitałem Rządu obecnego było obrzydzenie powszechne do poprzednich metod rządzenia. Nikt też bardziej

nie nadawałby się do stanięcia na czele takiego ruchu
odrodzeńczego niż Piłsudski z jego wielkiem imie-
niem, nieposzlakowaną reputacją, niesłychaną popu-
larnością.

Tak myślałem podówczas i tak myślę dzisiaj.
Są to coprawda rozumowania teoretyczne.

10.XII.1926.

CZY PARLAMENTARYZM ZAMIERA

(ANKIETA „ŚWIATA“)

ROZWAŻAĆ kryzys parlamentaryzmu polskiego bez uwzględnienia najszerszego tła europejskiego jest oczywistą niedorzecznością. Nie o wiele jednak dorzeczniejsze wydaje się nazywać kryzysem parlamentaryzmu to, co jest w istocie kryzysem państwa nowoczesnego. Niema dziś na kuli ziemskiej parlamentu, któryby działał, jak dobrze uregulowana maszyna: celowo i sprawnie, bez tarć i zgrzytów wewnętrznych. Ale gdzie jest rząd, któryby rozwikłał trudności i zagadki okresu powojennego, któremu nie rwałoby się z jednego końca wtedy, kiedy łąta z drugiego? Gubimy się w poszukiwaniu formuły, któraby była rozwiązaniem wszystkich trudności, nie pamiętając, że po największej w dziejach świata katastrofie formuła odbudowy gruzów powojennych nie da się odnaleźć na poczekaniu. Wikłamy się w sprzecznościach, z jednej strony przypuszczając, że jedynowładztwo, działając sprężystiej i szybciej, prędzej

dałoby sobie radę z trudnościami, z drugiej—zadość czyniąc żądaniom mas, rozkołysanych przez wojnę, głodnych, zniechęconych i domagających się głosu, z którego niezawsze umieją korzystać.

— Czemuż więc tak silnie atakuje się parlamentaryzm?

— W tem wszystkim jest niesłuchanie dużo zniecierpliwienia i zdartych na strzępy nerwów. Szuka się za wszelką cenę nowych sposobów, idąc do celu naprzelaj z pominięciem dróg, których się nie zna albo poznać nie chce. Te nowe sposoby okazują się zresztą zwykle szarlatanerją, a schodzenie z utartej drogi poprostu warcholstwem. W istocie rzeczy, jak dotychczas, nie wychodzimy poza przeczenia. Jedynie pozytywne sposoby leczenia schorzałych organizmów państwowych — bolszewizm i faszyzm — są lekarstwami, kosztującemi straszliwą cenę, cenę ponad wszelką ich rzekomą wartość. Lepiej byłoby zamiast tego bezpłodnego szarpania się wprowadzić i ustalić w Polsce kilka prawd zasadniczych, bez których nie może działać prawidłowo żaden parlament, żaden rząd, żadne państwo.

— Cóż należy począć?

— Pogłębić przede wszystkim polską kulturę polityczną, polskie rozumienie spraw publicznych. Powoływanie się na nasze odwieczne w tej dziedzinie tradycje jest okłamywaniem samego siebie. Pomiedzy świetnym okresem jagiellońskim a dobą dzisiejszą leży bagno anarchji przedrozbiorowej, przepaść, w którą się w czasie rozbiorów zvaliła Rzeczpospolita, i martwy,

bezpłodny step niewoli. Poza nawiązywaniem zerwanej nici trzeba zacząć uczyć się, badając, jak się rządzi i jak do tego doszli inni. Trzeba tę naukę rozpoczynać w szkołach powszechnych. Dobrze byłoby stworzyć kursy przeszkolenia dla najwyższych dygnitarzy państwowych. Wprowadzić nietylko jawność, ale i jasność polityki państwowej. Czasy Pytyj Delfickich minęły już bezpowrotnie. Najgłupszy wiec winien rozumieć, nad czym się pracuje w gabinecie ministra. W tym celu nie należy używać hasła, które są tylko biciem w bęben i cymbały. Mniej też sporów o ludzi, a więcej o zasady. Skończyć z budowaniem Polski bez Polaków czy przeciw Polakom. Wytlumaczyć, a jeśli czasu braknie—siłą wtłoczyć w głowę zasadę, że prawo jest istotą Państwa i szrankami, w których toczy się spór, a nie narzędziem do zdobywania partyjnych czy osobistych korzyści. Postępujemy z naszymi ustawami czasami tak, jak dziki, który genewskim chronometrem tłucze kokosowe orzechy. Dążyć do stworzenia opinii publicznej. Gdybyśmy ją mieli mocną i zdrową, partyjność nie przeradzałaby się tak często w partyjniactwo. — Oto jest tych kilka warunków niezbędnych nietylko do odrodzenia naszego parlamentaryzmu, ale wogóle naszego życia publicznego. Myślę, że dyktaturze, formie rządów znacznie trudniejszej, niż system parlamentarny, przydałyby się te proste rzeczy przedewszystkiem.

— Co się tyczy leczenia naszego, istotnie chorego parlamentaryzmu,—kontynuował p. Thugutt—nie tyle potrzeba zmian Konstytucji, ile zmian obyczajów. Ostry

regulamin sejmowy, kielżnąjący chorobliwe gadulstwo i odrzucenie od siebie przekłętej zasady: „nic, jeżeli nie wszystko“ — rychlej posunie uzdrowienie naszych stosunków, niż spory o Konstytucję. Wogóle należałoby przedewszystkiem ustalić, czy Konstytucja nasza ma być odzwierciedleniem rzeczywistości, czy celem, do którego się dopiero podąża. Sądzę, że tylko w pierwszym wypadku mamy twardy grunt pod nogami. Tak na przykład: Konstytucja uznaje równouprawnienie wszystkich obywateli, a część stronnictw odmawia posłom z mniejszości prawa wpływania na bieg spraw w najkapitałniejszych momentach (wyborach Prezydenta, tworzeniu Rządu). Wskutek tego tworzenie większości w Sejmie, wymaganej przez Konstytucję, staje się bezmała niemożliwe. Pozatem Konstytucja uznaje odpowiedzialność parlamentarną Rządu, podczas, gdy rzeczywistość dąsa się na to i dąży do wzmocnienia za wszelką cenę władzy Prezydenta. Otóż z zasady parlamentarnej odpowiedzialności Rządu wynika z żelazną konsekwencją zredukowanie Prezydenta do roli niemal wyłącznie reprezentacyjnej. Kto chce Prezydentowi dać władzę istotną, winien rozpocząć od skreślenia artykułów o odpowiedzialności przed Sejmem ministrów. Byłoby to przynajmniej jasne i zaoszczędziło walki na puste słowa. Takich rzeczy jest więcej. Można to nazywać kryzysem parlamentaryzmu. — Słuszniej byłoby stwierdzić, że wskutek opiekałości w myśleniu nadajemy sobie ustawy, których potem nie chcemy stosować, ani nawet rozumieć. Jestem zdecydowanym zwolennikiem systemu

parlamentarnego. Dlatego szukam ciągle jego wad, żeby je poprawiać! Ale zaczynajmy od poprawiania samych siebie, nie wiemy bowiem, ile nam czasu na poprawę zostało.

18.XII.1926.

ZALECA SIĘ u nas od pewnego czasu z wielką stanowczością do codziennego użytku, jako jedyny i najważniejszy środek ratunkowy — zasadę karności. Ze względu na przesłanki, na których się głosiciele tej nowej ewangelji narodowej opierają, na wnioski praktyczne i widome formy organizacyjne, do których niebawem dochodzą, a zwłaszcza ze względu na osoby i grupy głoszące nowe hasła — w pierwszym rzędzie twórcą Obozu Wielkiej Polski, p. Roman Dmowski — wolno stwierdzić, że jest to mniej czy bardziej nieudolne naśladownictwo włoskiego faszyzmu wraz z jego zasadniczą koncepcją, ze wzgardliwą nienawiścią do „obmierzonego trupa wolności“. I u nas, jak we Włoszech, karność przeciwstawia się wolności. Stary sztandar z dumnym napisem „za naszą i waszą wolność“ rzuca się z pogardą na stos zbytecznych rupiec i, z najrozmaitszych założeń i potrzeb wychodząc, dochodzi się do przekonania, że wolność w Polsce jest przedwczesna i nawet niebezpieczna. Mieszkaniec Polinezji, albo któregośkolwiek z pomniejszych miasteczek amerykańskich mógłby

sądzić, o ileby się o tem dowiedział, że Polska jest krajem chorym na straszliwy przerost poczucia wolności, na wyuzdaną samowolę i niechęć szanowania jakichkolwiek autorytetów. My, ludzie, pchający tu od szeregu lat swą ciężką taczkę po grudzie, mamy o tych sprawach zgoła inne pojęcie. Twierdzę wręcz przeciwnie, że w Polsce współczesnej bardzo mało kto, a najmniej ci, którzy rządili lub rządzą, mają istotne, głębokie, szczere poszanowanie wolności, zwłaszcza cudzej wolności.

Nie chciałbym wdawać się w spór, dlaczego tak jest. Poprzestanę na paru ogólnych twierdzeniach, które powinnyby być bezsporne. Niewola jest złą szkołą, wolności. Brutalna łapa najeźdźcy zginała nawet twarde karki, a takich karków było niewiele. Co gorsze, jak gwóźdź w miękkie drzewo — wbijano w miękkie głowy polskie przeświadczenie, że gwałt, siła i przemoc są jedynymi regulatorami współżycia ludzkiego. Ten jad trzeba z siebie wyparskiwać pokoleniami; do dziś dnia mamy go w żyłach niestety przerażająco wiele. Pozatem tli się jeszcze w duszy polskiej zgroza z powodu anarchji, która niegdyś zgubiła szlachecką Rzeczpospolitą. Dążenie do silnej władzy olbrzymiej większości obywateli polskich wydaje się być najwyższym nakazem chwili, ale tylko niewielki ich odsetek zastanawia się, na czem właściwie ta siła władzy polega i jakiej jest warta ceny.

Z tych czy innych powodów duszno jest w Polsce nawet piersiom, nie pretendującym bynajmniej do miary Fidjasza. Więzienia są przepełnione. Pozbawia

się u nas ludzi wolności z nieopisaną lekkomyślnością, przetrzymując ich niekiedy w więzieniu latami przed uniewinniającym wyrokiem. Obok zwykłych kryminalistów i rzeczywistych zdrajców stanu zapełnia się więzienia ludźmi nie za czyny, ale za przekonania, za przynależność do zakazanej partji, za ujawnione sympatje dla potępionych oficjalnie kierunków, czasem poprostu dlatego, że są podejrzani. Wśród takich ludzi jest dużo dzieci, starców, śmiertelnie chorych. Obywatele, którzy się znajdują poza więzieniem, o ile nie mają stosunków, albo nie są dość dobrze urodzeni, podlegają aż nazbyt często wybrykom i samowoli najprzeróżniejszych odmian kacyków, robiących „silną władzę”. Policja, licho płatna, źle szkolona, niedbale kontrolowana, zawiera w sobie, oprócz typów obywatelskich i czystych, niemały odsetek zamaskowanych opryszków, wykolejeńców, degeneratów. Prokuratorzy, do których z urzędu należy ściganie przestępstw nadużycia władzy, są przeważnie doskonale zrównoważonymi filozofami, których nic zgorszyć ani nawet zdziwić nie może. Sądy wydają w tych sprawach niekiedy wyroki, po których najspokojniejszego obywatela ogarnia zdumienie, rozpacz i bunt. Szeroka publiczność zżyma się na wszelkie w tych złych sprawach protesty, podejrzewa w nich bolszewicką propagandę i domaga się silnej władzy, więcej władzy, władzy za wszelką cenę. Obawiam się, że cena może być ponad naszą możność.

Tak wygląda nasza wolność fizyczna. Nie o wiele lepiej dzieje się w dziedzinie wolności duchowej.

Plączemy się w gąszczu zastarzałych przesądów, dusimy się w zabitej od świata deskami parafjańszczyźnie. Wszelkie poszukiwania prawdy na własną rękę i własnymi drogami jest surowo wzbronione i piętnowane bezmała, jako czyn antynarodowy.

Tolerancja i wolność sumienia są mitem, o którym się opowiada dzieciom w szkołach początkowych; młodzież uniwersytecka, a przynajmniej jej znaczna część, woli już urządzać napady na prezydentów. Propagowanie pacyfizmu i zgodnego współżycia narodów traktuje się z niewiarą, ze wzgardą, z podejrzliwością. We własnym domu na inne narodowości patrzy się oczami pruskiego podoficera, nie umiając uzgodnić interesu Państwa Polskiego z rosnącymi aspiracjami wolnościowymi mniejszości. Na zgromadzeniach publicznych coraz częściej zamyka się przeciwnikom usta pałką i kamieniem. Wynikające przeważnie z niskiego stanu kultury wybryki niektórych organów prasy uśmierza się dekretemi, które całą prasę traktują, jak podejrzanego przestępcę podczas stanu wyjątkowego.

Oczywiście, Konstytucja o tych wszystkich rzeczach mówi inaczej, mierząc nieskąpą ręką swobody obywatelskie. Ale Konstytucja jest już dzisiaj tylko kawałkiem pożółkłego papieru, miejscami dość mocno podartego. Istotą rzeczy jest nie Konstytucja, która jest zamiarem, tylko życie, które jest wykonywaniem.

Na to wszystko zło niewątpliwie Obóz Wielkiej Polski ma jedyne lekarstwo skuteczne — ma karność.

Czyją karność? Bitego po karku dla rozgrzewki człowieka, czy obywatela wsadzonego pod klucz przez pomyłkę, czy wreszcie dziennikarza, wydawanego na łup samowoli administracyjnej, uprawianej przez jego przeciwników politycznych. Może się komuś zdawać, że są to wszystko sprawy drobne w porównaniu z wielką potrzebą Państwa. Myślę inaczej, ale, odkładając tę część sporu do późniejszej chwili, niechże mi wolno będzie przynajmniej zapytać: karność — wobec kogo? w imię czego? Jestem jaknajbardziej odległy od chęci przekonywania swoich współobywateli, że karność jest cnotą zbędną. Twierdzę tylko, że jest cnotą drugorzędną, skoro nie jest i nie może być twórczą. Tworzy ten, który rozkazuje, nie ten, który słucha. A słuchać w tym nowym porządku rzeczy trzeba było naślepo, skoro nawet we własnej organizacji wszelkie stanowiska obejmować się będzie nie z wyborów, ale przez mianowanie.

Byłoby to od biedy zrozumiałe wśród zwolenników monarchji z Bożej łaski; jesteśmy jednak w Rzeczypospolitej i nie zamierzamy z niej podobno wychodzić. W takim razie cofnąłby się trzeba dla porównania do czasów starohebrajskich proroków, tylko, że zbyt już niewiarogodne wydaje się, żeby Bóg twórcom Obozu Wielkiej Polski namaszczał czoło olejem nadprzyrodzonej mądrości i kładł w ręce piórunka czy bat. Rozwiązaniem najprostsze będzie przypomnienie sobie słowa włoskiego guberniera naszego „obozu”, słowa, któremi Mussolini już trzy lata temu

wyjaśniał robotnikom portowym w Genui istotę rządu faszystowskiego: „rządzi dla wszystkich, ponad wszystkimi, a jeśli to będzie potrzebne—przeciw wszystkim”. W tem szczerem do brutalstwa ujęciu rzecz staje się odrazu jasna i prosta. Zamiast walki idei — walka sił; wystarczy rachować pięści i połamane żebra. Zamiast prawa, które jest wyrazem woli większości, rozkaz, który jest wyrazem woli grupy czy jednostki. W Polsce, gdy Obóz Wielkiej Polski nie jest już jedyną grupą, wysuwającą na czoło karność — jako nakaz najwyższy, daje to automatycznie w wyniku wojnę domową.

Ostatecznie, o tem wszystkim nie warto byłoby mówić, gdyby chodziło tylko o obóz polskich nacjonalistów. W tem, co słyszymy od nich dzisiaj, niema nic nowego, prócz może trochę więcej szczerości, jeżeli zaś chodzi o formy zewnętrzne, wiemy, jak tych ludzi niewiele kosztuje zmiana szyldu i maski. Ale co gorsza, co znacznie gorsza — ta zaraza idzie przez całą Polskę. Uwielbienie karności, jako najwyższej cnoty z nieuchronnem odsunięciem walki o wolność na plan dalszy, spotyka się dziś w środowiskach całkiem niepodważalnie demokratycznych. Starzy, osiwiali w walce, jaknajbardziej szanowni i kochani ludzie myślą dziś, że „troszeczkę łagodnego faszyzmu” przydałoby się Polsce. Kwestjonują ową „troszeczkę”. Kto będzie to lekarstwo Polsce wymierzał i kto jest w stanie zapewnić, że mu się lekarstwa nie przeleje? Nie jest zresztą istotą rzeczy, czy tego zmagania się na pięści będzie troszeczkę czy dużo, czy będzie ono łagodne czy krwawe. Istota rzeczy będzie w tem, że

odejdziemy od naszej kardynalnej zasady, od podstawy, na której działamy, od gruntu, na którym wyrosliśmy—odejdziemy od zasady wolności. To nie jest dla nas umarłe słowo, tylko żywa treść naszej wiary, naszego programu, naszego światopoglądu. I nie jest to kawałek suchego drewna, które można w miarę potrzeby obcinać, sztukować i przedłużać: wolność jest powietrzem, w którym się rozwijamy, bez którego więdnjemy i umieramy.

Jesteśmy zdecydowanymi pacyfistami, ale w wypadku najcięższej potrzeby, w wypadku najazdu idziemy do ludu, wzywając go nie tylko do obrony wolności Polski, ale do obrony własnej wolności. My tych dwóch rzeczy nie chcemy i nie umiemy rozdzielać, a Polska nie jest dla nas Molochem, na którego ołtarzu składa się krwawe ofiary. I wiemy, że takie wezwanie będzie miało swoją moc i swój skutek. Czasy fryderycjańskich armij, w których żołnierz więcej bał się kija kaprała niż bagnetu wroga, minęły bezpowrotnie. Dawny kij kaprański to dzisiejszy rozkaz, mimo którego szyk pęknie, jeśli nie utrzyma go pasja wolności, która człowieka napnie jak łuk.

W budowie wewnętrznej Państwa poza budowaniem od góry, poza Sejmem i Rządem, Konstytucją i ustawami regulującymi bieg życia, przywiązujemy przecież jaknajwyższą wagę do budowania od dołu, do kształcenia obywatela, wzmagania jego sił duchowych i materialnych, rozszerzania w ten sposób podstawy, na której Państwo spoczywa. Robimy to pod znakiem wolności. Rozumiemy tę wolność nie jako

instynkt dzikiego zwierzęcia, które gryzie kraty swej klatki, ale jako świadome uczucie człowieka, który własną odwagą i własną przedsiębiorczością dąży do niezależności. Obawiam się też, że, gdybyśmy szerokiej masie chłopskiej rzucili dziś zamiast hasła wolności nakaz karności, zrodziłoby to w niej jednej ciemnej głowie potworne podejrzenie o chęć powrotu do pańszczyzny, o wskrzeszenie „pańskiej“ Polski.

W rosnącym coraz groźniej sporze społecznym stajemy po stronie słabych nie tylko dlatego, że ich jest większość, ale w przeświadczeniu, że wstępnym warunkiem postępu społecznego musi być wolność jedzenia do syta. Nie wyobrażamy sobie, żeby naj-sroższe nakazy mogły pociągnąć ku Polsce nędzarzy, walczących z dnia na dzień o utrzymanie się przy życiu.

W tem wszystkim wolność jest nie tylko naszym celem, ale naszym sposobem, metodą, kluczem do otwierania dusz. Nazywam wolność sposobem, ponieważ służy ona do realizowania jeszcze wyższych celów: doskonalenia Polski, doskonalenia przez Polskę ludzkości. Nazywam ją celem, bo Państwo w demokratycznym ujęciu jest związkiem wolnych obywateli. Ci obywatele mogą ograniczać swoją wolność na rzecz Państwa. Ilość ograniczeń ustanawia Państwo, którego wolą jest wola większości obywateli. Poddawanie się woli większości nazywamy karnością. Nie jest ona gwałtem: będąc bowiem członkiem wolnego związku zgóry muszę być gotowym na konieczność poddania się woli większości. W ten sposób pojęta karność

nie przeczy wolności i jest tylko poszanowaniem prawa. Jeżeli chodzi o praktykę życiową, społeczeństwa anglosaskie albo obywatele Republiki Szwajcarskiej, mający krew przepojoną dążeniem do wolności od długiego szeregu pokoleń, dają zarazem przykład najwyższego poszanowania prawa.

Karność nie podporządkowująca się potrzebom wolności jest jej zaprzeczeniem. Pochodzi z uzurpacji i staje się bezzwłocznie przemocą. Nie może być mowy o stosowaniu „troszeczkę łagodnego faszyzmu“. Mussolini jest logiczniejszy, odrzucając nietylko zasadę wolności, ale wszystko, czem ludzkość żyła od roku 1789. Na miejsce wolności stawia się na pierwszym planie obok karności — hierarchję. Najprzód organizacyjną, potem polityczną, bo stronnictwa muszą być tylko narzędziem woli, która je opanowała, wreszcie społeczną, bo niema żadnej racji, żadnej podstawy, aby pojęciem równości utrudniać szybkie przenoszenie rozkazów idących zgóry.

Nigdy i nigdzie nie może to dać pokoju. Najmniej w Polsce.

11.XII 1925.

S E J M A O P I N I J A.

SEJM POLSKI nie był nigdy benjaminkiem opinii swego kraju. Jeszcze przed zwołaniem Sejmu Ustawodawczego p. Wojciechowski, ówczesny minister spraw wewnętrznych, zmuszony był odesłać na rekolekcje do twierdzy modlińskiej jednego z głośniejszych publicystów za ochrzczenie zgóry naszego ciała ustawodawczego „zgromadzeniem matolek”. Uroczystości i ceremonje, związane z rozpoczęciem działalności jednego z głównych organów odrodzonego Państwa, kazały o tem zajściu rychło zapomnieć. Niestety, miesiąc miodowy trwał krótko. Już w pierwszym półroczu istnienia Sejmu rozpoczęło się w prasie poklepywanie go po ramieniu, pouczanie o jego nieudolności, cierpkie dogryzki i jadowite nieraz zarzuty. Rzecz szczególna, celowała w tem raczej prasa lewicowa, chociażby dlatego, że wszystko, co było poza lewicą, traktowało Sejm jako swoją bazę operacyjną w walce z władzą wykonawczą, ściślej mówiąc z jej naczelnym przedstawicielem — Piłsudskim.

Później, po uchwaleniu Konstytucji, przysła—znowuż na lewicy — pałaca tęsknota do wyborów, na których spodziewano się odnieść walne zwycięstwo. Zaczęto bić w Sejm, jako w zawadę do wszelkiego posunięcia naprzód pomysłności powszechnej. Po wyborach, które w stopniu wystarczającym nie udały się nikomu, przeniesiono tę metodę walki do obecnego Sejmu. Biło się wprawdzie zawsze tylko „w ten sejm”, nie naruszając powagi „sejmu wogóle”. Ale to są finezje, których masa wyborcza nie zrozumie nigdy. W każdym razie stwierdzić z ubolewaniem należy, że w najlepszej intencji, w całkiem dozwolonej walce o władzę pierwszy ciężki cios parlamentaryzmowi polskiemu zadały te stronnictwa, których racja istnienia związana jest jaknajściślej z głosowaniem powszechnem i z opartym na tem głosowaniu parlamentem. Błąd godny nietylko uwagi, ale i poprawy, jeżeli bowiem po trzecim niepowodzeniu wyborczem nadal stosowana będzie taktyka niweczenia poszczególnej kadencji wyborczej, można się obawiać, że razem z nią zniszczeje idea przedstawicielstwa ludowego wogóle.

W ciągu ostatnich paru lat szeregi przeciwników Sejmu powiększyły się bardzo znacznie. Ci, którzy przybyli, albo całkiem otwarcie zaprzeczają parlamentaryzmowi wartości, albo obcinając mu uprawnienia, chcieliby zepchnąć Sejm Polski do rzędu instytucyj nic nieznaczących. Ujawniły się, czy może raczej wydobły się na powierzchnię życia, faszyzm, monarchizm, dążenie do dyktatury, komunizm wraz ze swemi pochodniami. Razem z nimi wydobły się

niewiara w swoje siły, zniecierpliwienie, obłąd szukania nowych form ustrojowych.

Na polskiej niwie politycznej, skoro nie chce na niej rosnać zdrowe i czyste zboże, rósł wszelki chwast. Sejm rozbity wewnątrz, głęboko przeświadczony o niemożności podźwignięcia się, szarpany w prasie i na zgromadzeniach publicznych, łżony w osobach swych członków, pomawianych o przedajność i w swojej całości, którą oskarżano o marazm, chylił się bez nadziejnie ku upadkowi. Dobiły go wypadki majowe. I jakkolwiek w okresie późniejszym Sejm parokrotnie silnemi odruchami przyczyniał swoim przeciwnikom kłopotu, zmuszał Rząd do zmiany stanowiska, albo go niespodziewanie wywracał, nikt nie może mieć złudzeń co do możliwości jego twórczego wysiłku. Ta możliwość nie istnieje, chociażby dlatego, że Sejm, jak wszystko co w Polsce myśli politycznie, przechodzi w tej chwili okres głęboko sięgającego przewartościowania swoich poglądów. Mówię to oczywiście nie o Sejmie jako całości, ale o składających go stronictwach, z których każde jest w stanie płynnym równie, co się tyczy składu osobowego, jak programu, taktyki i celów ostatecznych. Wprawdzie, żyje ten, kto się zmienia. Obecna jednak faza przekształceń sięga tak daleko, że trudno mówić nietylko o horoskopach na przyszłość, ale o użyciu którejkolwiek z organizacji politycznych do budowania Państwa w robocie dnia powszedniego.

Wartość dwóch pierwszych sejmów polskich ustali kiedyś historyk. Zmierzy ilość dokonanej pracy,

uwzględni warunki, w których się odbywała, rzuci pod obraz szerokie tło zmagañ się i aspiracyj powojennego świata. Tego wszystkiego można będzie dokonać z należytej odległości, patrząc oczami wolnemi od naszych namiętności, uprzedzeń, przemijających interesów chwili. Narazie chciałbym się zastanowić tylko nad warunkami, w jakich się kształtuje nasza opinia o Sejmie.

Czekano go jak zbawienia. Zaczęło się to jeszcze za czasów okupacji, kiedy stronnictwa lewicy zawiedzione co do Tymczasowej Rady Stanu, rzuciły w tłum hasło zwołania Sejmu. Hasło było, rzecz prosta, zgoła nierealne, użyto go poprostu jako dźwigni do przecierającej sobie zaledwie oczy masy. Ale masa — fornańska czy profesorska — pojęła to po swojemu. Spodziewała się, że Sejm będzie cudownem lekarstwem na wszelkie zło, wszelkie niedomaganie. Myślała, że Sejm rozwikła, a przynajmniej złagodzi spór wewnętrzny, nie wiedząc, że Sejm jest miejscem, gdzie spory, jeżeli nie rodzą się, to rosną. Otaczając zgóry szacunkiem główną instytucję odzyskanego Państwa, chciano w niej widzieć wyłącznie ludzi szanowanych i mądrych. Niestety, Sejm był tylko wziętym dość na chybił trafił przekrojem Polski, jak ona słabym, szukającym swych dróg, mylącym się dotkliwie i kosztownie.

Nastąpił zawód, wynikający z nieporozumienia, z fałszywej oceny istoty i możliwości ciał ustawodawczych wogóle, w szczególności naszego Sejmu w stawiającem pierwsze swe kroki Państwie.

Równocześnie zwały się na nas ciężary i trudności, jedne nie do przewyciężenia, inne nieznane dawniej nawet z nazwy: inflacja, wojna, ustalenie granic, bezrobocie, odłogi i odbudowa, sprawy mniejszości. Sejm rozplątywał te węzélki jak umiał, czasami rozcinał poprostu siekierą, kiedyindziej porzucał je nierozplątane i nierozcięte. Śmiesznem byłoby twierdzić, że załatwiał to prędko i sprawnie. Bardziej jeszcze niesprawiedliwem niż śmiesznem jest zapominać, że tak mniej więcej pracują dziś wszystkie parlamenty powojennego świata, bardziej niż nasz doświadczony i stare. Słusznem natomiast byłoby podkreślić pewien błąd zasadniczy, który od pierwszych dni swojego istnienia popełnił nasz Sejm, a razem z nim nasza opinia. Błędem tym było z gruntu fałszywe pojęcie o swojej wszechpotędze, co gorsza, o swojej wszechmożności. Rozpatrzyć stronę prawną tej niedorzecznej koncepcji należałoby ze względu na wagę i szerokość zagadnienia osobno. Jej skutki psychiczne były fatalne. Do ludzi i instytucji wszechmocnych przykładą się najwyższą miarę odpowiedzialności. Kiedy rzeczywistość udowodniła, że Sejm nie jest wszechmocny, wytoczono mu proces, wydano surowy wyrok. Niestety, zmuszony jestem zakwestjonować słuszność wyroku.

Sejm nie jest budowniczym, który ma postawić nasz dom, ani adwokatem, od którego oczekujemy wygrania naszego procesu. Sejm jest częstką kraju, który razem z nim powinien pracować i tworzyć. Jednym z głównych, jakkolwiek niewyłącznych, zadań

Sejmu jest przekształcenie w prawne formuły dążeń, poglądów i programów, które krystalizują się w kraju i znajdują wystarczającą ilość zwolenników. Mówiąc inaczej, Sejm winien w siebie wsysać żywe soki, krążące w organizmie kraju. Niestety, obawiam się, że Sejm w stanie obecnym jest wątłym drzewkiem, rosnącym na szczerym piasku. Ilość idei politycznych, krążących w Polsce, jest tak samo niewystarczająca, jak znaków obiegowych, z tą tylko różnicą, że powiększenia ilości znaków obiegowych domagają się wszyscy, a o brak idei nikt się nie martwi. Nasza współczesna literatura polityczna jest znikoma w porównaniu z literaturą Sejmu Czteroletniego. Cały szereg najważniejszych zagadnień państwowych nie został nie tylko przetrawiony, ale nawet nadgryziony. Instytucyj, poświęcających się przeprowadzaniu pewnych idei, a chociażby zbadaniu pewnych zjawisk, jest niesłychanie mało, a jeszcze mniejsza jest ich siła atrakcyjna. Na najwyższych szczytach myśli spotykamy ludzi, którzy żyją bujnym życiem wewnętrznym, ale których wszelka polityka nudzi i mierzi, może dlatego, że za politykę uważają brutalną walkę o władzę, a nie sztukę rządzenia Państwem.

To odsunięcie się inteligencji od życia politycznego miało różne przyczyny. Na jedną z nich chciałbym tu zwrócić szczególną uwagę. W dyskusjach Polski współczesnej wysunęła się na czoło kwestja społeczna. Wysunęła ją z żywiołową siłą szara masa ludowa, zwłaszcza lud wiejski. Marniejąca od chwili wybuchu wojny bezmała poza obrębem Polski,

trzymana rozmyślnie w ciemnocie, niezdająca sobie sprawy z techniki i możliwości życia społecznego, wysunęła swoje żądania w sposób ostry, niekiedy gwałtowny. Walczyła o swoje całkiem zresztą słuszne prawa pod znakiem radykalizmu. Niestety, nic nie było bardziej obce umysłowości inteligenta polskiego, niż jakiegokolwiek odcienia radykalizm, zwłaszcza taki, który już trzeba było urzeczywistniać i wcielać w życie. Rzecz całkiem zrozumiała w kraju, w którym wolna myśl krępowana była przez szereg pokoleń i w którym cały wysiłek trzeba było kierować do utrzymania bytu, bodajby w najbardziej prymitywnej formie. Rzecz zrozumiała, ale jakże w skutkach dotkliwa. Nie umiejąca znaleźć ani drogi do ludu, ani wspólnego z nim języka, gorzkniejąca w odosobnieniu, inteligencja zamknęła się w krytyce. Jałowa to zresztą była krytyka, niesprawiedliwa, czepiająca się błędów drugorzędnych, ulewająca sobie żółci w kawiarniach i na zebrankach prywatnych. Sejm siedł sam, często błędząc, zwykle traktowany jak instytucja obca krajowi. Istotnie, utracono wszelkie sposoby porozumienia się.

Pozostawała prasa. Mniej sprzedajna, niż prasa zagraniczna, nie dorastała zato do minimum skromnych wymagań. Oprócz niewielkiej ilości wytrawnych publicystów, ważących swoje słowa i przygotowanych do rozważania tematów, o których piszą, obsługiwana jest aż nadto często przez ludzi, obchodzących starannie wszelką trudność myślową, nie widzących nigdy istoty sprawy z poza jej pozorów, poszukiwaczy

skandalu i sensacji, traktujących Sejm jako widowisko. Te setki tysięcy egzemplarzy pism, rzucanych codziennie w tłum, pełne fałszywych obserwacji, skażonej prawdy, dość plugawych nieraz insynuacji, te artykuły przypominające napisy, kreślone na parkanie miotłą umaczaną w rynsztoku, podały oczywiście Sejm w obrzydzenie. Myślę, że zarazem obrzydziły publiczności samą instytucję prasy.

Oto są główne czynniki, kształtujące rozłam między opinią a Sejmem. Zawiedziona w swoich nadziejach, nie uwzględniająca warunków i trudności chwili, nie rozumiejąca naturalnego rozwoju zdarzeń, odrzuca opinia Sejm, jako maszynę zbyt zużytą, skomplikowaną i ciężką. Pokłada się całą ufność w bohaterstwie i cudach, a bodajby sztukach magicznych, któreby nas wprowadziły do ziemi obiecanej. Nie szuka się natomiast rozsądnych sposobów poprawy naszego systemu parlamentarnego, którego niewątpliwe błędy czynią go istotnie chwilami bezużytecznym.

Ale o tem oddzielnie.

29.I.1927.

ZAGADNIENIE naprawy naszego ustroju parlamentarnego jest przede wszystkim kwestją poprawienia samej maszyny, doprowadzenia jej do takiego stanu, przy którym pracowałaby szybko, wydajnie, z możliwie jaknajwiększym zabezpieczeniem od wybuchu. Jest pozatem, skoro maszynisty — społeczeństwa — zmienić nie można, doksztalaniem go, nauczeniem posługiwania się maszyną tak, aby z niej wydobyć wszystko, co ona dać może.

W samej konstrukcji naszego Sejmu popełniliśmy pierwotnie błąd niezaprzeczalny. Uczyniliśmy go, biorąc praktycznie, nierozwiązalnym. Mniejsza o pobudki, powszechnie zresztą znane, dla których tak się stało. W wyniku dało to wysoce szkodliwe osłabienie władzy wykonawczej i tyranję ciała wielogłowego, które samo myślało wolno, chwilami niedołącznie, ale skrepowało działalność Rządu. Co gorsza, Sejm, który nie mógł być rozwiązany, zatracił wszelkie poczucie odpowiedzialności przed swoim mocodawcą, przed masą wyborczą, co dało w dalszych wynikach wzmożenie w życiu publicznem obłądy i demagogji.

Ten błąd został naprawiony przez zmianę Konstytucji w sierpniu roku zeszłego. Obawiam się, że tej zmiany dokonano z większą dozą gorliwości, aniżeli przeczności. Wprowadzono podwójne źródło ustawodawstwa w postaci prezydenckich dekrety z mocą ustawy. Ograniczając kardynalne prawo parlamentu, przewidziano możliwość narzucenia krajowi przez Rząd budżetu bez zgody ciał ustawodawczych. Zmiany dokonano w nastroju, przy którym jako konieczność naturalną przewiduje się ciągle grożenie Sejmowi i upokarzanie go w oczach narodu. Jest w tem nie tylko wątpliwej wartości metoda wychowawcza, ale źródło niebezpiecznych konfliktów. Albo Sejm zostanie jako instytucja zniesiony, albo, mając w ręku formalnie tak potężne środki walki, jak prawo zmiany budżetu i obalenia Rządu, który utracił jego zaufanie, zechce z nich kiedyś istotnie skorzystać, co będzie początkiem nowej walki.

Pomimo to wszystko uczyniony został niewątpliwie w należytych kierunku krok ku istotnej naprawie. Przyznanie Prezydentowi prawa rozwiązywania Sejmu przywróciło zwichniętą równowagę między najwyższymi organami Państwa. Rzecz prosta, rozwiązanie Sejmu nie może być niczem więcej, niż odwołaniem się do woli narodu, który jest sędzią najwyższym. Prezydent, któryby rozwiązywał Sejm z powodu osobistych z nim zadrażnień, albo któryby go rozwiązywał parokrotnie z powodu stałego konfliktu w tej samej materji, ujawniłby niezrozumienie tego prostego faktu, że żyjemy w ustroju republikańskim i że w tym

ustroju niema miejsca na rządy osobiste zwierzchnika władzy wykonawczej. Prostsze i logiczniejsze byłoby obalenie republiki i obwołanie się absolutnym monarchą.

Co do innych punktów, określających ustawowo działanie naszego systemu parlamentarnego, są to doprawdy punkty drugorzędne i nie od nich zależy wartość Sejmu Polskiego, jako czynnika budowy i utrwalania Państwa. Niewątpliwie, tu i ówdzie zachodzi potrzeba retuszu, coś należałoby dodać, coś innego odrzucić. Tak jak jest, maszyna może iść. Ktoby miał zbyt daleko idące wątpliwości co do jej budowy, zechce porównać Sejm Polski z jego prawzorem — parlamentem francuskim. Jak u nas przed kilkoma jeszcze miesiącami, jest parlament francuski, praktycznie biorąc, nierozwiązalny, zwłaszcza, że od czasu niefortunnej próby marszałka Mac-Mahona chęć rozwiązania parlamentu przez Prezydenta traktowano by we Francji bezmała jak zamach stanu. Jak u nas, więcej niż u nas, był długi szereg prezydentów francuskich zredukowany do biernej roli widzów rozgrywających się wypadków, albo usuwany ze stanowiska za próby samodzielnego działania. Interpelacja, która u nas jest okazją do śmiesznego zapisywania sterty papieru, we Francji, dyskutowana na plenarnem zebraniu, dająca możność zakończenia dyskusji formułą zaufania czy nieufności do Rządu, jest bronią zatrutą i niebezpieczną, która pozbawiła stanowiska niejednego już premjera; przy żywszym znacznie temperamencie francuskim podnosi to napięcie i ciągłość walki

do form u nas nieznanym. Wszystko to razem, jak u nas, wywołuje w łonie społeczeństwa ostrą krytykę, dochodzącą niekiedy do zapamiętałych ataków na parlament i na republikę. Ale są też i kapitalne różnice.

Znakomita większość narodu francuskiego, narzekająca na swój parlament, pamięta jednak, że przy jego istnieniu zaleczone zostały rany wojny francusko-pruskiej, dokonane głęboko sięgające reformy społeczne, przeprowadzona drażliwa sprawa rozdziału Kościoła od Państwa, że przetrwano anarchistów, Dreyfusa i Boulanger'a, że wreszcie — próba najwyższa — wygrano wojnę. Gdy pozatem okazała się republika parlamentarna najstalszym ze wszystkich ustrojów, jakie Francja przeżyła od r. 1789, nie jest skłonny przeciętny obywatel francuski poświęcać jej na rzecz innego typu Państwa, może dlatego, że jest u końca tych prób, nie jak my u początku. Co niemniej ważne, polityk francuski niezależnie od sposobu traktowania swojego stanowiska i roli parlamentu, niezależnie od wściekłego wyścigu do władzy, nie pozwolił nigdy naturalnym, czy przypadkowym błędom systemu rozrosnąć się do takich rozmiarów, któreby wszystko doprowadzały do absurdu.

I tu jest sedno sprawy. Na to, żeby mieć minimum zaufania do systemu parlamentarnego pomimo jego wad organicznych, trzeba mieć mocno wbite w pamięć wady innych systemów, jeszcze niebezpieczniejsze, jeszcze bardziej nieuleczalne. Jeżeli zaś chce się przewyciężyć punkty słabe i miejsca

niebezpieczne parlamentaryzmu, trzeba pamiętać, że Sejm jest przede wszystkim instytucją do załatwiania konieczności państwowych i że traci wszelką rację istnienia, jeżeli powierzono sobie roboty wykonać nie może, nie umie, czy nie chce. To jest ogólny punkt widzenia, któremu podporządkowane musi być wszystko, od ambicji osobistych zaczawszy, a skończywszy na najświętszych programach partyjnych.

Sejm winien jest przede wszystkim dawać jasne, logiczne, łatwe do wykonania ustawy. Wedle dość jednomyślnej opinii kraju, nasz Sejm daje ustawy złe. Nie wchodząc w nadmierną może surowość wyroku, muszę zaznaczyć, że jeśli Sejm daje złe ustawy, nie wynika stąd, że ktokolwiek w Polsce mógłby je dawać lepsze. Projekty ustaw, które nadchodzą z ministerstwa do Sejmu, nie tylko nie mają niekiedy żadnej łączności z życiem, ale pod względem formalnym są pełne luk, opuszczeń i błędów. Rozporządzenia i dekrety władzy wykonawczej wywołują często ostrzejsze jeszcze sprzeciwy, niż ustawy sejmowe. Wystarczy przypomnieć osławiony dekret prasowy, który, pomijając jego ogólnie nieszczęśliwe ujęcie, roił się od miejsc mętnych, dwuznacznych twierdzeń i punktów niedopowiedzianych. Okazuje się, że umiejętność pisania dobrych ustaw jest jedną z najtrudniejszych umiejętności, którą się nabywa pokoleniami; myśmy się jej oduczali pokoleniami. Podnieść szybko poziom ustawodawstwa w łonie samego Sejmu nie wydaje mi się rzeczą łatwo osiągalną. Dobierać Sejm wyłącznie ze specjalistów prawników możnaby wówczas, gdyby

Sejm był mianowany. Uratowalibyśmy zresztą w ten sposób formę, gubiąc wzamian za to treść. Ograniczyć regulaminem gadulstwo, w którym gubi się myśl, jest oczywiście łatwo, można mówić krótko a niedorzecznie. Pozostawienie dłuższego okresu czasu między drugim a trzecim czytaniem dla ostygnięcia namiętności politycznych nie prowadzi do celu: ostygłe namiętności, rozgrzeją się z łatwością nanowo. Senat, który ma być korektorem Sejmu, podlega również namiętnościom politycznym, a pozatem jest zbędny.

Jedynym środkiem, jaki pozostaje, jest Rada Stanu, pilnująca redakcyjnej strony projektów ustaw. Demokracja polska musi wyzbyć się wstrętu i obawy przed tą instytucją. Lękać się, że Rada Stanu będzie narzucała nam swoje zdanie, byłoby to ujawniać niewiarę w moc swoich przekonań. Gdyby nawet Rada Stanu składała się z samych reakcjonistów, mamy możliwość odrzucić jej opinię, przenosimy za to dyskusję na poziom rzeczowy. Oczywiście, musiałaby Rada Stanu być zupełnie niezależna od Rządu, składana z ludzi możliwie wolnych od namiętności partyjnych, formowana na zasadach kolegium sędziowskiego. Jej opinia winna być brana pod rozwagę przez Radę Ministrów przed ostatecznem uchwaleniem projektu i wrazie różnicy zdań komunikowana Sejmowi. Po drugim czytaniu projekt winien ponownie iść do Rady Stanu, która zresztą ani w tej fazie, ani we wstępnej nie miałaby wypowiadać się co do meritum sprawy, a jedynie co do formy prawnej projektu, jego uzgodnienia z innemi ustawami, jego możliwych luk i niedomówień.

Trudnoby wymyślić instytucję, która byłaby taką korektywą działalności politycznej Sejmu, jak nią byłaby Rada Stanu dla działalności ustawodawczej. Niestety, trzeba przyznać, że strona polityczna działalności Sejmu nie ujawnia dotychczas zbyt wielkiego zrozumienia zadań tej instytucji. Ma być Sejm czemś w rodzaju clearing-house'u politycznego, w którym wyrównywałyby się i kompensowały prądy i opinie, pulsujące w kraju. W naszym Sejmie zdarza się to niezmiernie rzadko i w sprawach drugorzędnych; w wielkich zagadnieniach polityki bieżącej stronnictwa rozchodzą się raczej, niż zbliżają ku sobie na terenie sejmowym. Ma sprawować Sejm nadzór nad działalnością Rządu, oczywiście nadzór nie formalny, jak Najwyższa Izba Kontroli, ale ściśle polityczny. W rzeczywistości ogranicza się to przeważnie do jałowych wyjaśnień własnego programu, do krytyki, nie wychodzącej poza granice negacji, do mizernych sporów o rzeczy błahe i małe, do niesmacznych nieraz interwencji poselskich. Ma wreszcie—tu jest miejsce najbardziej chore—dawać Rządowi trwałą i mocną podstawę, wyłączać z siebie większość, któraby uchwalała zgłaszane przez Rząd projekty ustaw, dawała mu władzę dyskrecyjną tam, gdzie się sprawa w ustawie nie mieści, przyjmowała za jego czynności odpowiedzialność. Olbrzymia większość dotychczasowych rządów polskich nie miała nic wspólnego z systemem rządów parlamentarnych i utrzymywała się na powierzchni sztuczkami. Nie pochodząc z parlamentu, tem samem przeciwstawiały mu się. W Sejmie nie było ani większości,

któraby je poparła, ani innej, któraby je obaliła. Rządy rodziły się gdzieś po kątach, stosunek zaś Sejmu do Rządu był drażliwą kwestją, którą się omijało w dyskusji.

Jeśli ten stan rzeczy będzie trwał nadal, dni parlamentaryzmu polskiego są policzone. Sejm, który nie może utworzyć większości, nie może tem samem wyrazić swojej opinii, ani przeprowadzić swej woli. Jest kaleką i jako taki jest traktowany. Trudno sobie wyobrazić, aby na dłuższą metę mógł obalać rządy, na których miejsce nie jest w stanie niczego postawić. Rządy tworzone poza nim, będą go lekcewały, ustawy, które będzie uchwalał, będą wykonywane sprzecznie z jego intencjami, odpowiedzialność ministrów stanie się słowem bez treści. Cała polityczna strona działalności Sejmu opadnie jak zwiędły liść.

Nie będzie to z pożytkiem dla demokracji polskiej. Słaba gospodarczo, niebogata w ludzi i instytucje, może ona jedynie na terenie sejmowym stawać do walki z jakimi takimi widokami zwycięstwa. Ale chcąc zwyciężyć trzeba znać правила gry i trzeba się do nich stosować. W przeciwnym razie jest się szulerem albo lekkomyślnym ryzykantem, który liczy na przypadkową wygraną. Prawidła te są proste i oparte na zdrowym rozsądku.

Stronnictwo, które chce zrealizować odrazu cały swój program, bierze na plecy ciężar, pod którym się załamie. „Wszystko albo nic” znaczy w języku codziennym poprostu „nic”. W realizowaniu programu muszą być pewne etapy: osiągając rzeczy łatwiejsze,

uprzątamy tem samem plac do dalszej walki. Poszukując sprzymierzeńców nie trzeba się z nimi uzgadniać na szerokości całego programu; wystarczy uzgodnić się co do tych kilku punktów, które chcemy razem przeprowadzić w najbliższej przyszłości. Pozostając w opozycji, choćby się było bardzo silnym, pracuje się tylko dla jutra. Jeżeli dziś już chce się przejść do twórczej pracy, sięga się po władzę, tworzy Rząd i współpracuje z tym Rządem. Ścisła współpraca Sejmu z Rządem, który musi być przodownikiem większości sejmowej, jest istotną treścią systemu parlamentarnego. Tam, gdzie Rząd walczy stale z Sejmem, gdzie są one sobie obce, jeżeli nie wrogie, system rozpada się, a Państwo podlega gwałtownym wstrząśnieniom.

Jestem zdecydowanym zwolennikiem systemu parlamentarnego. Gdyby jednak Sejm nadal nie umiał wytworzyć większości, któraby była wyrazem jego woli, gdyby nie chciał stanąć w obronie swoich praw, gdyby jedno stronnictwo uchylało się w nim od walki, a inne od odpowiedzialności, musiałbym ze spokojem przyznać, że czas na republikę parlamentarnie rządzoną jeszcze w Polsce nie nadszedł.

Nie przeszkodziłoby to napewno ludziom tak jak ja myślącym, walczyć o to, by nadszedł jaknajrychlej.

12.II.27 r.

OTWARTA w tych dniach sesja sejmowa będzie wedle wszelkiego prawdopodobieństwa obecnego Sejmu sesją końcową. Nie wiem, jak długo będzie trwał ten ostatni akt polskiej tragikomedji parlamentarnej i jaka będzie jego wartość rzeczowa. Niema to zresztą, jak myślę, żadnego głębszego znaczenia, skoro nie może ulegać żadnej wątpliwości, iż w tej chwili Sejm, odarty ze znaczenia, pozbawiony wiary w siebie, zepchnięty w nicość własnymi błędami i cudzym przymusem fizycznym, nie jest w stanie zdobyć się na żaden większy wysiłek. Mógłby conajwyżej, o ile pozostawiona mu będzie możność, o ile jego czasu, uwagi i energii nie będą zaprzętały narzucane mu zzewnątrz nieskończenie małe spory o ceremonjał, albo scholastyczne dyskusje nad rozcinaniem włosa wątpliwości konstytucyjnych, — mógłby Sejm załatwić kilka pożytecznych i pilnych ustaw — ustawę o zgromadzeniach, ustawy samorządowe, w najlepszym wypadku, jeżeli już bardzo śmiali mamy być w przypuszczeniach—zmiany w ordynacji wyborczej. Więcej nic. Sprawy najbardziej istotnej, sprawy zasadniczego

ustroju, w którym Państwo ma się nadal rozwijać, Sejm nietylko nie załatwi, ale, jak miemam, nie poruszy nawet. Do załatwienia brak mu będzie fizycznej możliwości, do poruszenia brak decyzji, brak zresztą dostatecznego przetrwania istotnego sensu wypadków ubiegłych i wynikających z nich nauk na przyszłość. Wszystko to razem wywiera wrażenie, że Sejm jest instytucją do załatwiania pomniejszych spraw państwowych, co zresztą nie wyjaśnia nam jeszcze bynajmniej, kto właściwie ma załatwiać sprawy najbardziej kapitalne, w pierwszym rzędzie sprawę kształtu prawnego, w jakim nadal ma żyć Polska.

Tym, którzy mniemają, że do tego wyłącznie powołany jest Rząd, musiałbym zwrócić uwagę, iż nic nam niewiadomo, jakie są jego w tym kierunku zamiary, chęci i poglądy, żyjemy bowiem w okresie najbardziej tajemniczego z rządów, jakie współczesne pokolenie widziało w stosunkach europejskich. To jedno wiemy tylko napewno, że od dłuższego czasu literatura prawa nie zgadza się z praktyką codzienną, że interpretacja tej litery przez władzę wykonawczą jest niesłychanie dowolna i powiedzmy—swoiście oryginalna i że ten stan rzeczy nie może trwać zbyt długo, jeżeli pojęcie prawa nie ma się stać w Polsce rzeczą martwą, zbędną, i śmieszną.

*
* *

A czas idzie. Jeżeli Sejm nie zostanie rozwiązany na zakończenie sesji bieżącej, jeżeli go się nie rozwiąże we właściwym, Konstytucją przewidzianym, terminie,

to jest w początkach września, to Sejm umrze nieco opóźnioną ale nieodwołalną śmiercią dnia 28 listopada r. b. Nad niedorzecznościami, wręcz niemoralnymi konceptami przedłużania kadencji sejmowej poza ten termin szkoda czasu zastanawiać się, choćby nawet stać się to miało przez zmianę Konstytucji. A bez tej zmiany Sejm, któryby się zebrał 29 listopada, byłby niczem mniej niż zbiorowiskiem uzurpatorów, z powodu którego najbliższy posterunkowy winien spisać protokół dla ukarania jego członków wedle surowości prawa, o ileby ono jeszcze obowiązywało.

Jeżeli jednak wybory, które powinny się odbyć najpóźniej w połowie lutego roku przyszłego (z dużym naciąganiem terminów), mają cośkolwiek wyjaśnić, jeżeli mają być wyrazem woli narodu, trzeba, żeby wyborca, przystępując do urny, wiedział w ogólnych przynajmniej zarysach, co właściwie ma decydować. Obieranie poprostu posłów, którzyby załatwiali interesy swoich okręgów, a w sprawach ogólnopństwowych głowili się, szukając orientacji parę chwil przed głosowaniem, byłoby wypadkiem mało interesującym Rzeczpospolitą. Głosowanie za lub przeciw Piłsudskiemu wydaje mi się w tej dość późnej już godzinie naszego rozgardjaszu politycznego jedynie aktem wiary, którego Kościół wymaga dla zbawienia duszy, ale który politycznie nie mówi prawie nic. W powojennej Europie tłum jest tak ubogi w złudzenia, że dłuższego kredytu moralnego udzielać nie może czy nie chce nikomu, i dlatego, nawet obdarzając kogoś dyktaturą, żąda planów i żąda rachunków. Mussolini i Lenin

odbierają od swoich wyznawców cześć należną półbogom, ale obydwaj ci ludzie reprezentują pewien system, stworzony przez nich czy dla nich. Czas byłby, jeśli mamy wyjść z naszych dziwactw i sprzeczności ustrojowych, coś się o naszym polskim systemie dowiedzieć.

Nie chodzi tu, rzecz prosta, o deklaracje programowe, które bywają często niczem innym, jak zbiorem pustych słów, ani o dociekania teoretyczne, w których Rząd obecny nie wydaje mi się być zbyt mocnym, ani zbyt szczęśliwym. Potrzebny jest poprostu szereg faktów, czy bodajby szereg oświadczeń, mających moc zobowiązania, któreby ustaliły stanowisko Rządu do przyszłego Sejmu, wyjaśniły sytuację i pozwoliły zrozumieć, o co właściwie chodzi. Potrzebne i konieczne jest nadewszystko ostateczne rozstrzygnięcie i ustalenie w świadomości ogółu, kto właściwie jest u nas wyrazem woli narodu.

Jeżeli za taki wyraz uważa siebie — i tylko siebie — Rząd, czy raczej tego Rządu obecny szef, to wszelkie inne instytucje przedstawicielstwa narodowego są nie tylko zbędne, ale wręcz szkodliwe, prowadzą bowiem do całkiem zbytecznych nieporozumień, konfliktów i zaciemniania sytuacji i tak już nie na zbyt jasnej. Sejm, pozbawiony cech władzy, staje się zbytecznym ornamentem, już przez to samo drażniąc szpetnym, że zupełnie zbytecznym. Sejm, któremu pozostawiłoby się pełnię praw na papierze, ale który powstrzymywałoby się od używania tych praw postrachem, szyderstwem, podawaniem go w powszechną

pogardę, stałby się rychło szkołą nikczemności publicznej. Byłby już nie zbytecznym ornamentem, ale zgniłą belką, na której niczego oprzeć nie można. Jeżeli zaś Sejm ma być tym, kto legalizuje niezawsze legalne czyny Rządu, muszę stwierdzić, że nieszczęściem Polski jest, iż w niej nikt nie chce brać na siebie całkowitej odpowiedzialności, nawet ci, którzy dokonują rewolucji, i że zamach stanu legalizuje jedna tylko jedyna rzecz — powodzenie.

Jeżeli przeto Rząd chciałby zatrzymać dla siebie wyłącznie pełnię władzy, musi razem z nią przyjąć pełnię odpowiedzialności. Jeżeli ta odpowiedzialność go trwoży, jeżeli chce ją podzielić z Sejmem, musi również podzielić z nim władzę — całą władzę, władzę najwyższą, bo tylko wtedy Sejm będzie współodpowiedzialny. Wszelkie półśrodki, sztuczki i próby obcinania praw Sejmu do niczego nie mogą prowadzić. Jeżeli Sejmowi odbierze się prawo nadzoru i cenzurowania Rządu, zostaje mu niemniej potężny oręż — prawo uchwalania budżetu. Nawet gdybyśmy przedwojenną modłą rosyjską wprowadzili zwyczaj „opancerzania” części budżetu, nad którą Sejm nie ma prawa obradować, nieuchwalenie pozostałej, nieopancerzonej części da zawsze możliwość Sejmowi skrepowania wszelkiej działalności Rządu. Odebranie mu pierwotnego prawa budżetowego, zepchnie go w razie walki z Rządem na drogę bezmyślnego odrzucania wszelkich projektów ustaw, zgłaszanych przez władzę wykonawczą. Chcąc złamać całkowicie opór, jaki Sejm może stawiać, należałoby odebrać mu wogóle

prawo uchwalania ustaw, ale w takim razie zostałyby pusta łupina. Wątpię, czy obywatele starsi ponad pięć lub sześć lat chcieliby do takiego Sejmu posłów obierać.

*
* *

Nie chciałbym mimochodem poruszać trudnej i złożonej kwestji ostatecznego ustalenia praw i kompetencyj naszego Sejmu. Rozmaite konstytucje rozstrzygają to rozmaicie. Nie mogę sobie jednak wyobrazić takiej konstytucji ani takiego układu stosunków na stałe, w których byłoby przewidziane nie współdziałanie naczelných organów Państwa, ale ich ciągła ze sobą walka, płatanie sobie figlów, obrzucanie się zniewagami. Akt siły może być w pewnych warunkach zrozumiały, niekiedy nieunikniony, czasami nawet usprawiedliwiony. Ale nigdy i nigdzie gwałt fizyczny ani psychiczny nie może być stałym regulatorem życia publicznego, jeśli się chce być czemś więcej niż hordą. Szczególnie w Polsce, gdzie poczucie prawa jest płynne i płytkie, zamachy stanu, które miałyby być środkiem do wydzierania sobie władzy przez partje, skarłałyby niesłychanie szybko i spadły do poziomu burd ulicznych albo napadów bandyckich. Stąd ich niebezpieczeństwo jako precedens. Stąd prawo obywateli pytania Rządu, który chce skoncentrować całą siłę w swych rękach, jak zamierza ustalić pokój i porządek prawny i jaką chce do tego iść drogą.

To samo zapytanie należałoby zresztą postawić i drugiemu z partnerów — Sejmowi. Tylko Sejm,

żeby odzyskać swoje prawa, musiałby najprzód odegrać się moralnie i dowieść krajowi, że umie pożytecznie pracować.

Na to, żeby się odegrać moralnie, musiałby Sejm dowieść ponad wszelką możliwość, że, walcząc o koncepcję rządów parlamentarnych, szuka zysków dla Państwa a nie dla stronnictw, które w nim zasiadają. Dopóki pewna część stronnictw uprawia opozycję przeciw Rządowi dlatego, że rewolucji majowej dokonano przeciw nim a nie w ich interesie, dopóty bezstronny widz będzie miał prawo przypuszczać, że gra się fałszywymi kartami. Marzenia o niedokonanych zamachach są moralnie i praktycznie gorsze jeszcze, niż zamach dokonany, a powrót do przedmajowych stosunków byłby potwornością, która u milionów obywateli zabiłaby wszelką wiarę w Polskę. Gdybyśmy zresztą mieli dochodzić ponownie do rozgrywki siłą, kto wie, czy kraj nie wolałby opowiedzieć się po stronie Piłsudskiego, który jest romantyczną legendą, aniżeli za jego przeciwnikami z prawicy, których spora część całkiem przyziemnie pełza po błocie. Nie wdaję się w ocenę tego wyboru ani go przepowiadam: poprostu wyrażam przypuszczenie i myślę, że jeśli Sejm chce odzyskać autorytet, musi przedewszystkiem przekonać wszystkich o swojej szczerości w obronie parlamentaryzmu.

Musi też dowieść, że chce i umie pracować. Wytepić drakońskimi karami „honorowych” posłów, którzy się zjawiają tylko po odbiór diet. Okiełzać rozkładających go psychicznie gadułów, którzy z sali

obrad ciała ustawodawczego robią cyrk. Ułożyć i wykonać plan pracy. Dać niewiele ustaw, ale dać je w przemyślanej formie. Stworzyć większość, któraby przede wszystkim broniła tego minimalnego programu — odrodzenia Sejmu. Unikać drobnych sporów z Rządem, ośmieszających obie strony, ale się nie cofać w obronie swojej godności i nie uciekać od głosowań, kiedy one są decydujące. Rząd, któryby takiemu Sejmowi przeszkadzał w pracy, spadłby sam do poziomu niskiego partyjnictwa.

I wreszcie rzecz najważniejsza: przygotować teren do istotnej poprawy Konstytucji. Obmyśleć sposoby zapewnienia większej trwałości rządowi. Dać warunki możliwie największej swobody działania władzy wykonawczej, broniąc jej dostępu na własny teren, znieść system wtrącania się w drobiazgi rządzenia krajem, a wzmocnić i pogłębić istotny nadzór nad całokształtem czynności Rządu. Tępić demagogję — zwłaszcza we własnych stronnictwach, jak rdzę, która hamuje działalność maszyny. Pamiętać, że najostrzejsze walki polityczne nie pozwalają stronnictwom uchylać się od załatwiania konieczności państwowych, w pierwszym rzędzie rozsądnego i realnego budżetu. Nadewszystko dążyć do stworzenia większości, któraby wyrażała wolę Sejmu.

*
* *

Są to, być może, dość oklepane ogólniki. Bez zadośćuczynienia im jednak wybory będą się zawsze odbywały bezmyślnie. Przyszły Sejm będzie gorszy od

obecnego, większości nie utworzy, będzie niebawem rozpędzony i będzie ostatnim Sejmem w dotychczasowym kształcie. Losy rad przybocznych, które później mogą powstać, są już dość obojętne.

Prawdopodobnie nawet i w tym wypadku wróci-libyśmy prędzej czy później na właściwą drogę. Ale nie jest to bezpieczne, że Polska żyje poza wszelką kategorią czasu.

25.VI.27 r.

JAKI MA BYĆ USTRÓJ POLSKI?

ANKIETA „GŁOSU PRAWDY”

ODPOWIEDŹ nie jest łatwa, bo narzucanie narodowi ustroju, uznanego teoretycznie za najlepszy nie rokuje widoków stałości, a stwierdzić, co jest wolą narodu, jest dość trudno, skoro w Polsce dnia dzisiejszego wszystko—a najbardziej przekonania polityczne—jest płynne. Spróbujmy dość do wniosku metodą eliminowania koncepcyj najmniej odpowiednich.

Jeżeli chodzi o monarchję, myślę, że nawet zdecydowani monarchiści mieliby kłopot z obsadzeniem tronu. „Piaś” byłby lekceważony, obcy całe życie musiałby uczyć się Polski. Ktokolwiekby nim był—musiałby się oprzeć na jakiejś warstwie i nie będzie chyba pomyłką przewidywać, że oparłby się na warstwie najbardziej zachowawczej, najbardziej odpornej wszelkiej śmiałej reformie społecznej. To wszystko w momencie, kiedy na dole wszystko, w sposób może mniej widoczny, ale całkiem niewątpliwy, przesuwa się na lewo. Doskonała recepta na awanturę.

Jeśli chodzi o dyktaturę, w warunkach normalnych jest ona zbyt duża, w anormalnych trzeba mieć w niej Napoleona u góry i przynajmniej dobry materiał na aparat wykonawczy u dołu. Żaden z tych wypadków nie zachodzi w Polsce. Nie twierdzę zresztą, że napewno nie dojdziemy do dyktatury. Myślę tylko, że nawet gdyby nie była nonsensem, doszlibyśmy do niej po szeregu wstrząśnień, zdrowy rozsądek zaś nakazywałby życzyć Polsce ustroju, któryby jej nie narażał na zbyt gwałtowne wstrząśnienia.

Pozostaje zatem republika. Wszyscy znamy jej wady, choćby dlatego, że najlepiej zna się wady ustroju, w którym się żyje. Nadszedł jednak czas, kiedy nie spuszczając z oka wad, słuszne byłoby wyżej cenić sobie jej bezsporne zalety. Poprzestanę na podkreśleniu jednej: republika jest ustrojem, który jaknajmniej obywateli pozostawia poza orbitą swojego działania. Rzecz ważna w kraju, w którym mało kto chce brać na siebie odpowiedzialność i nikt prawie nie chce obliczać skutków swoich czynów. Z tych samych względów sądzę, że ustrój parlamentarny jest dla naszego charakteru bardziej wskazany, niż ustrój prezydencki. Rzecz prosta, należy go poprawić, może z gruntu przerobić. Jest to robota na całe pokolenia. Tem pilniej trzeba się do niej zabrać. Nie opluwać, nie podkopywać, tylko poprawiać.

12.I.1927.

ZARZUT — nawet fałszywy i słaby — jeśli go się do znudzenia z uporem powtarza i podaje za pewnik, jeśli nie spotka się on we właściwej chwili z należytem odparciem, zdobywa sobie wcześniej czy później prawo obywatelstwa. W dziedzinie politycznej dzieje się to tem łatwiej, im bardziej klęski i niepowodzenia publiczne podważą wiarę w panujący podówczas system, im bardziej jego najgłębsze podwaliny wydadzą się ludziom słabszym tylko źle dopasowaną do rzeczywistości teorią.

Takim zarzutem przeciwko naszej Konstytucji jest wracający coraz natrętniej atak przeciwko powszechności prawa wyborczego. Ma ona być rzekomo przyczyną wszelkiego zła w Polsce, a jej usunięcie warunkiem wstępnym i nieodzownym wszelkiej w Polsce poprawy. Jest to zarzut dość świeżej daty. Nie wiem, czy w pierwszym okresie budowania naszego Państwa wszyscy jednakowo przekonani byli o pożyteczności powszechnego głosowania; to pewna, nikt nie wątpił o tem, że ono jest nieodzowne. Rzecz całkiem zrozumiała. Tylkoco ukończona została potworna rzeź

świata. Waliły się w gruzy trony o najbardziej odwiecznych tradycjach, pieniądze o granitowem do niedawna pokryciu, budżety państw i budżety rodzin. Z okopów wychylały się z bronią w rękę miliony obywateli zniszczałych fizycznie i moralnie, hamujących wściekłość, szukających winnego. Rzeczą najbardziej bezpieczną wydawało się uspić rosnące niezadowolone, dopuszczając najszerze masy do głosu tam, gdzie one go nie miały, rozszerzając formy demokratyczne, gdzie one już uprzednio istniały. Po upływie kilku lat, po pewnem uspokojeniu, pojawiły się u ludzi dawnego porządku znowu refleksje. „Ponieważ stan rzeczy jest ciągle jeszcze wysoce niezadowolający, ponieważ w ciągu tego okresu żyliśmy pod panowaniem głosowania powszechnego, przeto zły stan rzeczy jest skutkiem zbyt szerokiego prawa wyborczego”. Wniosek równie fałszywy, jak prosty, żeby nie powiedzieć prostacki.

*
* *

W dyskusjach, które się usiłują utrzymać na wyższym poziomie, wystawia się przeciwko głosowaniu powszechnemu argumenty naukowe. Składanie kartki wyborczej, mówią nam, nie jest nawet w republice prawem przyzrodzonym obywatela, lecz tylko funkcją, którą mu Państwo powierza. Ale kto jest tem Państwem? Jeżeli zgodzimy się, że jest niem pewien obszar ziemi, ludność na tym obszarze żyjąca, ustrój prawny, w którym ta ludność żyje i — powiedzmy nawet—tradycja, która jest ciągłością linii rozwojowej,

któż to z tej ludności ma stanowić o tem, komu w interesie Państwa należy powierzyć funkcję wybierania reprezentantów? Nawet najbardziej radykalny demokratą robi oczywiście pewne wyłączenia z masy ogólnej.

Odmawiamy prawa wyborczego dzieciom i młodzieży, ponieważ nawet fizycznie nie są jeszcze skończonymi ludźmi. Odmawiamy go chorym umysłowo, ponieważ już nie są ludźmi w całym tego słowa znaczeniu. Wyłączamy wojsko, ponieważ przy obecnym systemie obrony Państwa nie można agitacji wyborczej wprowadzać do koszar. Stawiamy wreszcie poza prawem wyborczym przestępców, ponieważ dla bezpieczeństwa ogólnego, odbieramy im na czas pewien wogóle wolność i prawa obywatelskie. Ale w imię czego mamy dokonywać dalszych ograniczeń? Jeżeli ma się to stać dlatego, że klasy niższe, posiadając mniej wykształcenia, mniej są zdolne uchwycić istotę zagadnień państwowych, muszę przypomnieć, że każdy z nas zna niewątpliwie sporo ludzi wysoko wykształconych, o głęboko wyrobionym w dziedzinie swojej specjalności zmyśle obserwacyjnym i zdolności wyciągania wniosków, którzy ujawniają jednak niesłychanie nikłe zainteresowanie sprawami publicznymi i niesłychanie śmieszne, naiwne i powierzchowne poglądy polityczne. Wszystko to razem wikła ich wkońcu razem z ich kucharkami w sieć najbardziej ordynarnej demagogii.

Tych zaś, którzyby się niepokoili, że ludzie, nie posiadający nic, mają stanowić o losie majątków, które

ktoś inny posiada, muszę uspokoić, że własność prywatna jest tak samo funkcją społeczną, jak prawo wyborcze, że pozatem czynniki gospodarcze są wprowadzie kapitalnym, dominującym, jeśli kto chce, składnikiem życia i rozwoju Państwa, nie są jednak jego składnikiem wyłącznym. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego człowiek, który posiada majątek, ma stanowić o wolności sumienia albo sposobie nauczania tego, który majątku nie posiada, skoro oba te zagadnienia rozstrzygają się w płaszczyźnie, na której ilość akcji, morgów czy domów, przez kogoś posiadana, nie ma żadnego zastosowania.



Porzućmy zresztą ten spór. W nauce prawa ustrojowego aż nadto często myśl zaciemniana jest przez uprzedzenia, mające swoje źródło w interesie czy w tem, co się za interes własny uważa. Znaleźć przytem w trybie naukowym odpowiedź na zapytanie, gdzie się w warstwach społecznych zaczyna prawo do głosu, jest rzeczą zgoła niemożliwą. Jest to zagadnienie, które rozstrzygnąć można wyłącznie politycznie, jeśli za politykę uważać będziemy sztukę rządzenia Państwem, opierając się na grze żywych sił, działających w narodzie. Panowie z obozu konserwatywnego usiłują nas niejednokrotnie przekonać, że lud nasz nie ma żadnych zainteresowań politycznych, że jedyną sprawą, która go interesuje i dotyczy, jest chleb. Należałoby przedewszystkiem dokonać doświadczenia i dać mu ten chleb, którego łaknie z takim

uporem, jeżeli bowiem odbieranie praw politycznych sytym ludziom jest głupstwem, to odbieranie go głodnym jest niewątpliwie szaleństwem. Jestem zresztą przekonany, że nawet będąc syty lud nasz nie wyrzekłby się tak łatwo, jak się tym panom zdaje, przekonania, iż prawa polityczne gwarantują mu zdobywanie chleba i że od takiego czy innego wyniku wyborów zależy nietylko sprawa naprzykład obsadzenia poselstwa w Londynie, co go istotnie obchodzi niewiele, ale i zbiór kartofli na własnem polu. Jeżeliby tego nie wiedział, jeżeliby ten instynkt polityczny zatracił, znaleźliby się ludzie, którzyby mu to wytłumaczyli, niektórzy w łącznym interesie jego i Państwa, inni przeciwko Państwu.

Argumentów im nie zabraknie. Spór jest stary jak świat i wszystko już zostało powiedziane. Nie sięgając czasów zbyt odległych, w r. 1793 w jednym z procesów politycznych, któremi usiłowano zgniebić demokrację angielską, prokurator postawił sprawę całkiem wyraźnie. „Pan Muir powinien był przecie wiedzieć, że o takiej hołocie (mowa była o tkaczach szkockich) nie może być wogóle mowy. Jakie ci ludzie mają prawo do reprezentacji parlamentarnej? On wie bardzo dobrze, że parlament się o ich petycje zgoła nie troszczy”. I dalej: „Reprezentowanym być może jedynie interes ziemiaństwa. Co się tyczy kanalji, która posiada jedynie ruchomości, jakąż Państwo ma co do nich rękojmię?” W 45 lat później Stephan, jeden z przywódców czartystów, tłumaczył robotnikom manczesterskim istotne znaczenie tych

słów: „Sprawa głosowania powszechnego jest ostatecznie sprawą noża i widelca, sprawą chleba i sera, pomimo wszystko, co zostało przeciwko temu powiedziane. I gdyby mnie kto zapytał, co oznacza powszechne prawo wyborcze, powiedziałbym mu: oznacza, że każdy człowiek pracy ma prawo do noszenia na grzbiecie dobrego surduta, do dobrego obiadu na swoim stole i do takiej tylko ilości roboty, ile potrzeba, by go w dobrym zdrowiu utrzymać, oraz do takiego zarobku, któryby go czynił uczestnikiem przyjemności życiowych, jakich człowiek może rozsądnie pożądać”.

Oto jest postawienie sprawy, być może nieco brutalne, ale jasne całkiem wystarczająco. Z jednej strony „interes ziemiański” — dzisiaj rozszerzylibyśmy to już do interesu klas posiadających — usiłujący przywłaszczyć sobie Państwo do swoich wyłącznie usług; z drugiej — spokojne ale mocne przeświadczenie, że je chleb dosyta ten, kto ma władzę. Gdyby dzisiejsi polscy krytycy powszechności naszego prawa wyborczego zechcieli stawiać zagadnienie równie otwarcie i jasno, sprawa by na tem tylko wygrała, porozumienie byłoby łatwiejsze. Pokrywanie obrony swego stanu posiadania pozorami pożytku publicznego jest listkiem figowym, który się napewno w walce zagubi.

*
* *

Byłoby bardziej słuszne i pożądane przejść od mglistych zarzutów i wstydliwie ukrywanych pożądań do sformułowania raz nareszcie ściślej sprecyzowanego

aktu oskarżenia przeciwko wciąganiu do życia publicznego najszerzych mas narodu polskiego. Wskazać zło stąd płynące i dowieść go rzeczowemi argumentami. O co chodzi właściwie? Jeżeli o niski poziom naszego Sejmu w porównaniu z parlamentami zachodnio-europejskimi, to jest on istotnie niezbyt wysoki, ale przyczyna zła leży widocznie gdzieindziej, skoro tamte ciała ustawodawcze—angielskie, francuskie, belgijskie—pochodzą również z głosowania powszechnego i skoro w tamtych krajach również przed wprowadzeniem znienawidzonego prawa powszechności przepowiadano załamanie się całego systemu, nieobliczonego na to, aby go dotykały tak grube ręce.

Powiedzmy sobie przeto otwarcie, że jeżeli nasz Sejm ujawnia niekiedy małe wyrobienie, to przyczyną istotną zła jest nie tylko niski poziom umysłowy mas, ale małe wyrobienie polityczne całego narodu. Nasz chłop i nasz robotnik orjentują się niezawsze trafnie w skomplikowanych zagadnieniach wyższej polityki. Obawiam się jednak, że członkowie naszej arystokracji, a nawet naszych wolnych zawodów, o ile się nie poświęcają specjalnie polityce, mieliby również trudności z uzyskaniem stopnia dostatecznego. Są to oczywiście naturalne skutki faktu, że naród polski przez szereg pokoleń odepchnięty był od udziału w życiu państwowem, od możliwości kształtowania swych losów. Lekarstwem może być tylko czas i praca nad sobą. Jeżeli zaś kogo gorszy tymczasem znaczny odsetek posłów, pozbawionych już nie politycznego, ale wszelkiego wogóle wykształcenia, trzeba zaznaczyć,

że popierwsze jest to zjawisko przejściowe i zmniejszające się, powtóre posłowie tej kategorii nie wpływają niemal w żadnym stopniu na formę naszych ustaw, potrzebie zresztą — i to jest istotą rzeczy — ich mandaty poselskie nie są bynajmniej wynikiem powszechności prawa wyborczego, tylko głębokiej nieufności, jaką życie wykopało pomiędzy naszym ludem a warstwami górnymi.

Dalszym zarzutem, który się wyłania z chóru narzekań, jest zarzut zbytniego radykalizmu, który głosowanie powszechne wywołuje w Sejmie. Tak jakgdyby radykalizm rodził się w Sejmie, albo na zgromadzeniach przedwyborczych pod namową agitatorów. Otóż najbardziej zręczna hiena wyborcza wyzyskuje tylko ten stan niezadowolenia z istniejącego porządku, jaki znajduje się na miejscu. Warunkiem istnienia w tej chwili wszelkiego radykalizmu w Polsce, począwszy od opozycyjnych nastrojów bogatego chłopca, a skończywszy na komunizmie, szerzącym się jak pożar wśród bezrobotnych, jest zły stan gospodarczy. Niemożność znalezienia pracy, albo takie jej wyniki, które nie pokrywają najskromniej liczonych kosztów utrzymania, to są zjawiska, które czynią ludzi skłonniymi do najbardziej śmiałych prób zmiany istniejącego stanu rzeczy. Odebrać tym ludziom właśnie dlatego głos, to tyle co stłuc manometr dlatego, że się w kościele zbyt wiele pary zbiera.

*
* *

Oczywiście można tak dalece zwęzić prawo wyborcze, że Sejm składać się będzie wyłącznie

z przedstawicieli warstw zadowolonych z obecnie panującego porządku społecznego. Obawiam się tylko, że w ten sposób, zwężając Sejm, zwęzilibyśmy Polskę. U nas wogóle tych, którzyby Polskę radzi zwężali, jest oddawna bez liku. Jedni chcą wyeliminować z niej mniejszości narodowe, inni tych, którzy się nie zaliczają do grona wiernych panującego i triumfującego Kościoła, teraz chciałoby się za nawias wyrzucić tych, którzy, nie mając gwarancji pełnego żołądka, mogą niepokoić swoim radykalizmem.

I te wszystkie szalone pomysły rzuca się w kraju, którego znakomita część mieszkańców jeszcze piętnaście lat temu uważała Polskę za rzecz „pańską”, niczem z nimi nie związaną, do niczego im niepotrzebną! W ciągu ostatnich kilku lat nastąpiła wprawdzie głęboko sięgająca zmiana na lepsze: te miliony mieszkańców wsi stały się nietylko z prawa, ale z poczucia wewnętrznego obywatelami Państwa, ich miejsce zamieszkania stało się dla nich Ojczyzną. Ale antagoniści demokracji chcieliby mimo to nawracać wstecz, może do czasów pierwszej konstytucji francuskiej, która w r. 1791 dzieliła obywateli na „czynnych”, mających pełne prawo wyborcze, i „biernych”, którzy cieszyli się jedynie opieką prawa, będąc pozatem ludźmi bez głosu. Ci ludzie o zatęchłych poglądach nie są w stanie zrozumieć, iż zmniejszeniu praw towarzyszy zawsze zmniejszenie poczucia obowiązku, w stosunku do którego pozbawiony pełni praw obywatel zachowywać się będzie biernie. Wydaje im się,

że wystarczy, jeżeli o obowiązkach obywateli pamiętać będzie władza, nie mogą natomiast zrozumieć, jak nieskończenie wyżej ponad mechanicznym spełnieniem obowiązku pod naciskiem przymusu policyjnego stoi wolna twórczość człowieka, pomnażającego swoją Ojczyznę.

Po odepchnięciu biednych i ciemnych Polska wyglądałaby dość nikle. I trzeba by zapytać panów z owych górnych dziesięciu tysięcy, czy przypadkiem ciężar, który chcą wziąć na swoje wątłe barki, nie jest zbyt dla nich wielki. Wrażenia z bliższej czy dalszej przeszłości mogą nas pod tym względem napawać najżywszą obawą. Czasu niewoli usuwały się te warstwy z każdego posterunku, na którym zagrażało niebezpieczeństwo. W wolnej Polsce były zawsze czymś cieniem, czymś dodatkiem. Przez pierwsze parę lat były cichym współnikiem narodowej demokracji, wiernym do chwili jej porażki. Po przewrocie majowym wloką się w ogonie Piłsudskiego, nietyle dlatego, że odkryły w dawnym socjaliście powinowactwa dobrej szlacheckiej krwi, ile dlatego, że nikt inny ich już bronić nie może. Sami nie mogą odnaleźć nie tylko własnej siły, ale nawet języka, któryby był zrozumiały dla masy.

Demokracja polska może się tym zachciankom przyglądać z zupełnym spokojem. Nie stoi za niemi ani racja stanu, ani siła wewnętrzna. Niema żadnej podstawy do przypuszczeń, że powszechne głosowanie zechce na sobie dokonać samobójczego zamachu.

Odebrać je zaś siłą powstałe możnaby tylko w tym wypadku, gdyby się równocześnie powstrzymało cały bujny pęd życia, który z żywiołową siłą rośnie w Polsce od dołu.

13.VII.27 r.

WARTOŚĆ OBECNEGO RZĄDU I JEGO SYSTEMU

(ANKIETA PISMA A.B.C.)

PRZEDEWSZYSTKIEM pod względem gospodar-
czym. Rząd zastał mocną konjunkturę, co było
niezależnym od jego woli przypadkiem i Rząd
otrzymał od sfer gospodarczych duży kredyt zaufania,
co nie było może jego zasługą, ale było jego wartością.
Pozatem uporządkował gospodarkę państwową, uzdro-
wił w znacznym stopniu budżet i odgrodził go od
niezdrowych wpływów politycznych, wprowadził nie-
słychanie pożądaną element stałości planu pracy. Na-
ogół zachowywał się jak skrzętna i sumienna gospo-
dyni, nie ujawniająca zresztą ani wybitnych talentów,
ani znajomości współczesnej metody zracjonalizowa-
nej pracy. Pozyskał zaufanie zagranicy, ale rokowa-
nia o pożyczkę prowadził—niech to nikogo nie obra-
ża — całkiem po szlachecku, nie chwytając momentu,
nie umiejąc się dobrze sprzedać, denerwując przysz-
łego wierzyciela i osiągając ostatecznie dość nikłe
wyniki, które były powodem nerwowej w kraju de-
presji.

Ogólny rezultat byłby naogół raczej dodatni, gdyby nie kryjący w sobie groźne następstwa fakt, że poza pewnymi polepszeniami kryje się coraz bardziej dotkliwa nędza klas pracujących. Rząd nie umie dopilnować bardziej sprawiedliwego podziału dochodów, nie potrafi zapewnić warunków najskromniejszego bytu robotnikowi, urzędnikom, chłopu. Ale przecie w ten sposób można nietylko wyczerpać niesłychaną cierpliwość naszych mrówek roboczych, ale skurczyć pojemność rynku wewnętrznego, jedynie zdrowej i naturalnej podstawy przemysłu.

Pod względem politycznym Rząd rozpoczął od stu-procentowego owładnięcia życiem kraju. Był bezma-ła jedynym czynnikiem politycznym, działającym swobodnie. Wrogowie byli steroryzowani, liczba przyjaciół rosła z zawrotną szybkością, ludzie najbardziej nieufni przyglądali się z zainteresowaniem nowemu porządkowi. Ten niezbyt naturalny stan rzeczy Rząd postanowił nietylko utrwalić, ale o ile możliwości powiększyć. Postanowił zniszczyć wszystko, co mogło mieć siłę poza nim, nie chcąc mieć tej siły pewnego dnia przeciwko sobie. Sejm niszczy, odbierając mu możliwość pracy, odmawiając współdziałania, podając na wzgardę. Stronnictwa rozsadza się od wewnątrz przez zaufanych ludzi. Pozatem obmyśla się sposoby zniweczenia ich przez zmianę ordynacji wyborczej. Stan urzędniczy trzyma się w zupełnej zależności od siebie przez całkiem dowolną ocenę wartości pracy i zasługi jednostek. Prasę bierze się na wędzidło środków policyjnych. Czasem łamie się prawo, czasem się

o niem zapomina, albo interpretuje je całkiem dziwacznie. Za rozbicie głównego wroga — endecji płaci się ceny szalone. Stawia się na nogi skostniałą, wyzbytą instynktu życia arystokrację, której ze wszystkich cech zdrowego organizmu pozostał raczej duży apetyt niż możliwość trawienia. Klerykalizuje się Polskę bardziej niż to czyniły rządy jawnych wsteczników, zapominając o tem, że polityką wysoce religijnych królów polskich było uniezależnianie się od Watykanu.

Rezultaty tego systemu wydają mi się dość nikłe i dość zagadkowe. Stronnictwa, będące tworem Rządu są niewspółmiernie słabe do poniesionych wysiłków. Horoskopy wyborcze Rządu są żadne. Inne stronnictwa, nawet związane niemi personalnych uwielbień, przechodzą do opozycji, a, ponieważ są barometrami nastrojów publicznych, wskazywałoby to, że nieufność i pewna zgorzkniałość rosną powoli, lecz stale. Łamane razem z Sejmem, albo zagrożone wyrzuceniem z niego, pójdą na ulicę albo w podziemia. Komunizm, pozbawiony wszelkiej możliwości jawnego działania, robi jedynie rozsądną ze swego punktu widzenia rzecz, t. j. rośnie. Tymczasem Rząd działa tak, jakgdyby był pewien wiecznego powodzenia i jakgdyby nie dopuszczał myśli, że może kiedyś od kraju potrzebować poparcia, nawet ofiary.

Przytem system jego nie jest ani dość jasny, ani dość konsekwentny. Nieprzyjaciół woli wyniszczać, niż łamać. Lubi drogi okrężne, mało zrozumiałe nawet dla jego fanatycznych wielbicieli. Działa na wyobraźnię, gardząc racjonalizmem. Nie chce czy nie umie

współdziałać z Polską i chce być ponad nią, jeśli uzna za właściwe — przeciw niej. Przy ciągle jeszcze niedostatecznie zaleczonych ranach organizmu gospodarczego wygląda to, jakgdybyśmy się nastawiali na nowy konflikt. Mniejsza zaś czy większa możliwość konfliktów, ich częstość i ostrość to miara wartości Rządu i ustroju, który buduje.

Pozostaje ocena moralna, czy jeśli kto woli, wartość wychowawcza Rządu.

Najmniej chciałbym mówić o wypadkach majowych. Sąd możliwie bezstronny wyda o nich kiedyś historja. Narazie wystarczy stwierdzić, że jeśli nawet były występny rokoszem wojskowym, były zarazem naturalną reakcją przeciwko lichocie tego, co się działo przed niemi. Do jałowości bardzo przyziemnych sporów wniosły ton siły i woli, którego w Polsce tak odwiecznie brakuje. Stały się jednak zarazem złym precedensem na przyszłość, zabójczym wzorem, na jaki będzie się powoływał każdy warchoł, który będzie chciał pokój zamącić. Wszystko to można będzie wybaczyć, jeżeli sprawcy czynów majowych potrafią z narodu wyzwolić nowe idee, nowych ludzi i nowe siły.

Co do idei—uderza ich ubóstwo. Ani sam Rząd, ani popierający go kierunek, nie dają żadnej nowej formuły, ani żadnej koncepcji pozytywnej. Dobór ludzi z 30-miljonowego narodu ogranicza się do koła osobistych znajomych albo conajwyżej znajomych swoich znajomych. Nowe siły zaś rosną wprawdzie, ponieważ Polska jest żywym ciałem przecie, ale rosną raczej

przeciw Rządowi, niż przy nim. W ten sposób konflikt jest raczej odroczony niż zażegnany.

Nie wiem, kiedy i jak się ten spór rozstrzygnie. Być może, że szef obecnego Rządu bardzo długo pozostanie przy władzy i przy swoim systemie budowania Polski. Mniejsza o to, że jest to system zbyt egotyczny, system nawrotu do dawno zamarłych form. Ale co będzie po upadku tego systemu? W jakim stanie będzie Polska, jaka będzie jej zdolność do prawidłowego rozwoju? Od odpowiedzi na to pytanie zależy ostateczna ocena działań obecnego Rządu.

ANKIETA „GŁOSU CODZIENNEGO” W SPRAWIE KOMUNIZMU

ZAGADNIENIE stosunku do ruchu komunistycznego jest w Polsce Odrodzonej od samego początku zagadnieniem żywym i spornym.

Od pierwszych dni swojego istnienia zmuszone jest Państwo Polskie toczyć z komunizmem śmiertelną walkę o życie, walkę bez pardonu i bez wytchnienia. Nie mam żadnych wątpliwości, że tylko brak dostatecznych sił nie pozwolił komunistom zniszczyć nam Państwa w jego obecnej postaci. Z drugiej strony, w użyciu policyjno-sądowych represyj przeciwko komunizmowi dochodzi Państwo do ostatecznych granic.

Nie podejmuję się przepowiadać dalszego przebiegu wypadków ani temmniej ich końcowej rozgrywki. Stwierdzić natomiast muszę, że w walce toczącej od tak dawna z najwyższym napięciem sił komunizm rozwija się i krzepnie. Ostatnie wybory warszawskie były dla ludzi, chłodno i uważnie przypatrujących się rozwojowi wypadków, ostrzeżeniem stanowczym i groźnem. Kto choćby raz jeden brał udział w kampanji

wyborczej, rozumie, jak wielkim wpływem psychicznym rozporządzać trzeba, żeby rzucić kilkadziesiąt tysięcy ludzi do bitwy, w której ich rola ogranicza się do strzelania bez prochu. Pocieszenie się, że były to głosy przeważnie żydowskie, jest nędzną pociechą, skoro Żydzi są także obywatelami Państwa Polskiego.

Kwalifikowanie tego ruchu żywiołowego, jako masowego obłędu, nie posuwa nas ani o krok naprzód: właśnie warjat może być niebezpieczny dla otoczenia. Najmniej zaś już wypada sobie samym kłamać, że w grze tu są tylko bolszewickie pieniądze: kto ośmieli się w sposób poważny twierdzić, że 22 maja głosiło na dziesiątkę sześćdziesiąt tysięcy przekupionych indywidualnie zdrajców i szpiegów?

Przestańmy zasłaniać sobie oczy dziecinną chusteczką: nastał czas, kiedy z największą uwagą i pośpiechem śledzić trzeba, co jest właściwie źródłem sił komunizmu.

Jest niem niewątpliwie w pierwszym rzędzie zły stan gospodarczy. Byłoby niesprawiedliwością, byłoby niedorzecznym przekomarzaniem się zaprzeczać, że się obecnemu Rządowi udało rozplątać — czasem rozciąć — kilka węzłków, które się zaplątały na naszym życiu państwowem. Byłoby rzeczą śmieszną wmawiać w siebie, że udało mu się rozwikłać węzeł, który się najdotkliwiej zaciska na szyi: sprawę kosztów utrzymania i płac robotniczych.

A przecież w powojennym okresie były to płace głodowe, których każde obniżenie wywoływało

upadek sił, chorobę, czasem śmierć mniej odpornych członków rodziny. Tego na dłuższy okres czasu nie zniesie żaden człowiek, żadna grupa społeczna i tego nikt nie ma prawa od nich wymagać.

Jeśli uświadomiony patryjotycznie robotnik polski znosił to z bezprzykładnem samozaparciem się, to dlatego, że do budowy Państwa przystępował z niewyczerpanym zdawałoby się kapitałem wiary: w siebie, w Polskę, w szczęśliwą sytuację, w polski urząd, który mu uregułuje życie, w Sejm, który będzie cudownym na wszelkie zło lekarstwem. Niestety, te kwiaty prędko zwiędły. Zawiodło przedwczesne upaństwowianie różnych gałęzi produkcji w braku sił fachowych. Szereg dotkliwych prób przekonał nas, że na dobry polski urząd trzeba poczekać parę pokoleń. Sejm okazał się narzędziem bardzo skomplikowanym, którym niebardzo umieliśmy posługiwać się.

Zawaliły się wszelkie autorytety. Wtedy się zaczęło ratować Polskę „naprzelaj”, z pominięciem wszelkich dróg, z połamaniem wszelkich płotów. Narazie dało to silne wzmożenie nadziei. Ale nie będę daleki od prawdy, jeżeli stwierdzę, że w tej właśnie klasie, którą w Polsce komunizm oplątuje najmocniej, w klasie robotniczej, nadzieje te po roku przetworzyły się bez reszty w zawód. Wyrazem tego zawodu jest ciążenie ku komunizmowi, nie dlatego, żeby się podzielało jego zasadniczą koncepcję, nie dlatego nawet, żeby się ją znało dokładnie, tylko wskutek tego, że komunizm jest najjaskrawszym protestem przeciwko temu, co boli.

Są ludzie, którzyby tę chorobę chcieli leczyć żelaznym batem. Myślę, że tego bata używa się u nas aż nadto. W ciągu ostatnich lat siedzi w więzieniach polskich stale parę czy kilka tysięcy komunistów, z których część skazana jest za samą przynależność do partji. Wszelkie manifestacje zewnętrzne — druki, przemówienia, pochody — tępione są z całą surowością, z użyciem broni wrznie najmniejszej potrzeby czy zgola bez potrzeby. I po tem wszystkiem kilkadziesiąt tysięcy głosów na zabronioną listę. Zatem lekarstwo bata samo przez się nie jest wystarczające.

Rzecz całkiem zrozumiała. Skoro głównemi przyczynami wzrostu komunizmu jest zły stan gospodarczy i ciemnota polityczna, używanie przymusu fizycznego, bez usunięcia tamtych dwóch przyczyn, raczej pogarsza sytuację, niż zapobiega złu. Jeżeli zaś komunizm jest chorobą psychiczną, należałoby unikać wszelkiego używania gwałtu ponad konieczną potrzebę obrony bezpośredniej. U nas pod tym względem bywa rozmaicie. Dla osadzenia w więzieniu kilku komunistów zapomina się niekiedy nietylko o Konstytucji, ale o obowiązującej ustawie o postępowaniu sądowem. W ten sposób stwarza się psychiczny odpór części ludności, która staje po stronie komunistów. W ten sposób schodzi się na teren bezprawia, na którym właśnie komunizm najdoskonalej rodzi się i rozwija.

Nie znaczy to, żebym propagował w walce z komunizmem ślamazarność i godną politowania pobłażliwość opartą na fałszywej doktrynie. Tam, gdzie partja komunistyczna chwyta Państwo za gardło, zajmuje się

szpiegostwem, przygotowuje zbrojne powstanie, uprawia sabotaż urządzeń państwowych, wprowadza rozkład do wojska, tam należy działać stanowczo, bez wahań i bez sentymentalizmu.

Nie tworząc przez nadmierną surowość fałszywych męczenników, nie denerwując siebie i nie denerwując ludności, nie dając się ściągać na barbarzyński poziom walki, należy poprostu stosować prawo, które jest podstawą i istotą Państwa.

Ale jeżeli chodzi o przekonania, o myśl — myśl nie daje się zakuć w kajdany. Państwo, w którymby myśl wtrącano do więzienia, stałoby się samo jednym wielkiem więzieniem. Dlatego jestem zwolennikiem legalizowania partii komunistycznej.

Gdybyśmy ją jednak legalizowali, nie podejmując równocześnie kuracji istotnymi środkami leczniczymi, byłoby to tylko obnażeniem cuchnącej rany. Istotnymi środkami leczniczymi, jak wynika z tego, co powiedziałem wyżej, jest szczere dążenie do poprawy bytu klasy robotniczej, jest walka z demagogią komunistyczną przez odrzucenie od siebie wszelkiej demagogii i wszelkiej szarlatanerii, równie dobrze na wiecu, w prasie, w sejmie, jak w gabinetach ministrów, jest zresztą utrwalenie panowania prawa, które ma stać ponad wszystkim.

2.VI.1927.

SEJM, przystępując po wypadkach majowych do normalnych swych prac, miał dwa kapitalne zadania przed sobą. Należało przedewszystkiem i za wszelką cenę wskrzesić i utrwalić porządek prawny w Państwie. Taki czy inny porządek. Można było zmieniać Konstytucję, szukać innych form ustroju, odmiennie określać stosunek władz naczelných, ale coś przecie musiało w Polsce być stałego, coś musiało jasno i ostatecznie określać prawa i obowiązki każdej instytucji i każdego obywatela, niezależnie od jego stanowiska, wartości i ciężaru gatunkowego.

Należało pozatem bronić, będąc jednym z naczelných organów Państwa swoich uprawnień i swojej godności. Skoro po dokonanej latem roku ubiegłego zmianie Konstytucji Polska pozostała nadal republiką parlamentarnie rządzoną, należało mieć pogląd na sposób rządzenia Państwem i poglądowi temu umieć nakazać posłuch.

Żaden z tych celów nie został osiągnięty niestety. Jeżeli chodzi o praworządność, nie chcę się wdawać w drażliwe, niekiedy obmierzłe spory o ten

czy inny wypadek, stwierdzić jednak muszę, że podłożem wszelkiego w Polsce myślenia politycznego jest fakt, iż źródło istotnej władzy znajduje się ciągle poza wszelkimi normami prawnymi, iż wobec tego normy te są ornamentem zbędnym i śmiesznym. Jeżeli zaś chodzi o wolę Sejmu, nikt się o nią nie pyta i nikt o nią nie dba.

W tych warunkach rozpoczyna się nowa sesja sejmowa. Spodziewać się po niej owocnej pracy ustawodawczej byłoby nie liczyć się zgoła z rzeczywistością. Wiele rzeczy załatwia na mocy pełnomocnictw Rząd. Sprawy wielkie, jak na przykład ustawy samorządowe przyjęte już w uprzedniej sesji w drugim czytaniu, wymagają dla przeprowadzenia ich do pomysłnego końca zbyt wiele czasu, którego już nie staje. Pozatem jest cały szereg spraw, które podobno są tabu. Mówię podobno, nikt bowiem nie zna istotnych poglądów Rządu, który z godną podkreślenia konsekwencją nie zajmuje stanowiska w żadnej ze spraw omawianych w ciałach ustawodawczych, nie bywa zresztą nawet wcale na posiedzeniach, nie współpracuje w komisjach, nie odpowiada na zapytania, wogóle „nie rozmawia” z Sejmem. Tym czy innym tylko kanalikiem podziemnym dochodzi czasami do wiadomości ustawodawców mniej czy bardziej mętna wiadomość, że za poruszenie którejś ze spraw — ustawy o zgromadzeniach częściowo już przyjętej, dekretu prasowego, czy czego tam jeszcze — grozi zamknięcie sesji. Za szczególny kamień obrazy, za casus belli bezmała uważana jest podobno — znowuż podobno — ustawa

o samorozwiązalności Sejmu, dość już dziś, przyznać trzeba, śmieszna dwa miesiące przed nieuniknionym kresem kadencji. Możliwy więc conajwyżej zająć się jakąś ustawą o akuszerkach wiejskich, czy ogierach państwowych, skoroby kto w tej późnej i osobliwej chwili znalazł do tego ochotę, czas i smak.

Czemkolwiekby kto zresztą chciał się zająć w dogorywającym Sejmie, winien sobie uprzednio przypomnieć, że na czoło spraw w Polsce wysuwa się dziś, usuwając wszystko inne w cień, sprawa wzajemnego stosunku naczelnych władz w Państwie, stosunku, który już oddawna jest publicznem zgorszeniem i publiczną szkodą. Sejm, utrzymany ku powszechnemu zdziwieniu przy życiu przez zwycięzców w walkach majowych, spychany jest odtąd systematycznie w nicłość. Części uprawnień pozbył się przez zmianę Konstytucji, inne ofiarował szczodłą ręką Rządowi w postaci pełnomocnictw. Tych, które mu pozostały, nie wolno mu używać pod grozą poszczucia na niego opinii publicznej, ciężkiego oskarżenia o przeszkadzanie pożytecznemu dziełu uzdrawiania stosunków. Wzywany do pracy w wypadkach nieodzownej potrzeby, dla załatwienia budżetu albo ratyfikacji umów międzynarodowych, pozbawiony jest pozatem z reguły nie tylko wpływu na bieżącą politykę Państwa, ale zajmowania się swoją główną pracą: uchwalaniem ustaw, Rząd bowiem, odmawiając wszelkiej z nim współpracy, pozostawia go w próżni, w której wcześniej czy później musi zniszczyć. Lżony, a conajmniej lekceważony publicznie przy każdej okazji, atakowany stale

bezprytomnie przez część prasy i wartogłowych fanatyków, stał się Sejm kosztownym sprzętem, którego celu i potrzeby nikt nie rozumie, pustą łupiną, przykładem odstrasającym szanujących się ludzi od pracy politycznej. Na dobitkę odmawia mu się rozwiązania, traktując wszelką chęć odejścia jako osobistą obrazę Rządu.

Taki stan rzeczy trwać dłużej nie może. Kto nie chce gmatwać do reszty i tak mało wyrobionej myśli politycznej polskiej, musi możliwie najrychlej starać się poprawić naszą maszynę państwową tak, żeby pracowała z większą wydajnością, a z mniejszą ilością zgrzytów i tarcia. Przedewszystkiem trzeba ustalić — w życiu a nie na papierze — zasadnicze tezy naszego ustroju, uwzględniające istniejące stosunki realne, tezy dla wszystkich zrozumiałe i przez wszystkich szanowane. Nie myślę, żeby się to dało zrobić w drodze dyskusji i teoretycznych rozważań: zbyt wiele myśli się u nas w chwili obecnej wątrobą, jeżeli nie kieszenia. Takie tezy mogą narodzić się tylko w walce. Nie trzeba obawiać się walki — ona jest źródłem życia. Jedynie pewną ucieczką od walki jest śmierć, ale dla narodu jest to lekarstwo równie niemoralne jak niedorzeczne. Oczywiście, mówię o walce idei — walki armat mamy chyba wszyscy dosyć narazie. Szanowny i pocziwy król Władysław Jagiełło, kiedy go jakiś kauzyperda krzyżacki zbyt już nękał argumentami natury prawniczej, wypuł mu z najszczerzej głębi serca: „ty do mnie z pergaminem, a ja do ciebie z dzidą”. Biorąc pod uwagę szelmostwa krzyżackie,

trzeba przyznać, że replika biła w samo sedno sprawy. W dzisiejszych jednak naszych warunkach i w naszych nieporozumieniach wewnętrznych lepiejby było dźdę postawić do kąta. Nie trzeba i nie wolno natomiast wyrzekać się nigdy woli do obrony tego, co się uważa za słuszne.

Za słuszne Sejm musi uważać to, co sam utrwał, zmieniając Konstytucję, republikański ustrój Państwa i w nim swoją rolę nadzorczą. Można oczywiście, biorąc rzecz formalnie, w pozostałych do życia dwóch miesiącach czasu jeszcze raz zmienić Konstytucję i obdarzyć Polskę monarchją, dyktaturą, rządami prezydenckimi na wzór amerykański, systemem włoskim, hiszpańskim, węgierskim, czy jakim tam kto chce wreszcie. Można nawet, gdyby się to komu podobało nad wszystko, przenieść do Polski wskrzeszone Państwo Kościelne. Narazie jednak istnieje inny porządek prawny, którym jest Sejm, będący częstką urzędów państwowych, i jego prawa ściśle określone przez Konstytucję. Jeżeli Sejm uważa, że prawa te są zbyt wielkie i płaczą mu się między nogami, jak zbyt długa koszula, nie pozostaje mu nic innego, jak użyć nożyc i obciąć tę zbyt długą koszulę do pożądanej wysokości. Mówiąc innemi słowy, winien jeszcze raz zmienić Konstytucję, przelewając ponownie znaczną część uprawnień na Rząd, albo przynajmniej jasno, otwarcie i szczerze powiedzieć, że Rząd, niszcząc prawa Sejmu, postępuje zgodnie z jego intencją i cieszy się jego zaufaniem. O ile przeciwnie Sejm zwężanie swoich praw przez Rząd uważa za rzecz szkodliwą dla Państwa,

winien stwierdzić, że nie chce brać na siebie odpowiedzialności przez współpracę z Rządem. Rzecz byłaby obustronnie w porządku. Rząd nie ma zaufania do Sejmu, który uważa najwidoczniej za gniazdo szkodników. Sejm nie może mieć zaufania do Rządu, który nie daje mu ani żyć, ani umrzeć. Zważywszy niesłuchanie ograniczoną możność ujawniania swoich poglądów ze względu na ciągle zamykanie sesji, wydaje mi się to jedynym zrozumiałym sposobem stwierdzenia przez Sejm, że nie pozwala się traktować, jak złoczyńca, którego stawiają u pręgierza i wskazują palcami, ani nie chce być dla nikogo listkiem figowym, do czego jest zbyt mały i nadto już zdarty.

Rozumiem, że w obecnym stanie powikłania zagadnień społecznych i politycznych byłoby sprawą niezmiernie drażliwą i trudną odnaleźć wspólne motywy do wniosku o votum nieufności dla Rządu. Byłoby to też rzeczą najzupełniej zbędną i niepotrzebną. Szczery demokrat i obrońca parlamentaryzmu nie potrzebuje robić beznadziejnych wysiłków dla odnalezienia wspólnego języka z obozem, który swój zatęchły kramik uważa wyłącznie za Polskę, ani z ludźmi, którzy z miotania oszczerstw na Piłsudskiego zrobili sobie zawód i sposób zdobywania chleba powszedniego. Ci, którym Polska nie spadła z nieba na głowę, ani dla których nie jest niechętnie noszonym ciężarem, włożonym w Wersalu na plecy, ci ludzie nie zapomną nigdy, że Piłsudski uczył innych z narażeniem własnego życia kochać Ojczyznę wtedy, kiedy niejedną z późniejszych dygnitarzy Rzeczypospolitej zakazywał

surowo samemu sobie myśleć o Polsce. Potem przyszła szara rzeczywistość, mozolne wcielanie ideałów w życie, przyszły błędy, tragiczne nieporozumienia, niekiedy grzechy. Ale jeśli są ludzie, o których można powiedzieć, że nawet ich błędy są swoiście przez nich pojmowanym sposobem służenia Ojczyźnie, Piłsudski do nich należy niewątpliwie. Nie wynika stąd bynajmniej, aby człowiek, mający odmienne od niego zdanie, nie miał go bronić z całą stanowczością, byle ta obrona była legalną i lojalną. O ile znam Marszałka Piłsudskiego, jest to człowiek silny, który ceni i szanuje tylko odwagę i siłę. Jeżeliby ataki szefa Rządu na Sejm miały na celu wywołanie należytego oporu, „zmontowanie” przeciwnika, któryby był godny jego uderzeń, muszę przyznać, że okupowałyby to w pewnej mierze wypadki majowe. Ta hipoteza nie jest wykluczona, jest bowiem Piłsudski niewątpliwie człowiekiem o wysokim poczuciu odpowiedzialności, który musi sobie zdawać sprawę, że najświetniejsze nawet wyniki jego Rządów byłyby zniweczone po jego ustąpieniu, czy po jego śmierci, gdyby Polska okazała się podówczas polityczną pustynią, w której nikt o sprawie ogólnej nie myśli, nikt niczego nie chce i nikt nie ma instynktu rządzenia.

Oto dlaczego wydaje mi się nietylko możliwe, ale konieczne, aby Sejm doprowadził do wyjaśnienia sytuacji. Te dwa ciała — Rząd i Sejm — nie mogą istnieć nadal, bocząc się i dásając na siebie. Sejm zdaje sobie z tego sprawę oddawna. Przystępując do uchwalania ustawy o samorozwiązalności, chciał dosyć

bezprzykładnym sposobem usunąć się sam. Skoro mu to zostało uniemożliwione i skoro, o ile wiadomo, wszelkie dalsze próby mają być przecięte natychmiastowem zamknięciem sesji, nie pozostaje, jak żądać usunięcia się drugiej strony. Byłby to oczywiście tylko zwrot retoryczny. Prezydent Rzeczypospolitej, obdarzający szefa Rządu bezgranicznem zaufaniem, byłby konstytucyjnie uprawniony zatrzymać Rząd i rozwiązać Sejm, co zresztą byłoby właśnie osiągnięciem zamierzonego celu. Może być, że przy osobliwych chwytach politycznych, jakich jesteśmy od dość dawna świadkami, nastąpiłoby coś jeszcze innego, mianowicie Sejm mógłby być zamknięty, lecz nie rozwiązany, a nowy Rząd zostałby mianowany w tym samym niemal składzie. Ale i to nawet, jeśli nie byłoby odprężeniem sytuacji, byłoby jej znacznem wyjaśnieniem. Sejm w każdym razie zrobiłby swoje, a posłom pozostawałoby już tylko gremjalne złożenie mandatów.

Wszystko to jest narazie dość teoretyczne. W Sejmie nie ma żadnych bojowych nastrojów, czy to dlatego, że kluby przechodzą ciężkie kryzysy wewnętrzne, groźne przed zbliżającymi się wyborami, czy dlatego, że system wychowywania Sejmu przez bicie wydaje swoje owoce. Nie zmienia to w niczem rozumowania. Starcie, którego by się chciało dzisiaj uniknąć, przyjść musi później. Obawiam się, że może przyjść w momencie zgoła nieodpowiednim i być poprostu dzikim wybuchem, jeżeli od dość pierwotnych sporów o władzę nie podniesiemy się do poziomu sporu o dwa światopoglądy, o dwa systemy urządzenia Państwa.

Cokolwiekby się stało, trzeba pamiętać na mądre słowa Korsykanina o żelaznej ręce i mózgu, który był cudowną maszyną. Pisał on — Bonaparte — roku 1803 do obywateli założonej przez siebie Republiki Helweckiej tytułem przestrogi. „Nie zakorzeni się nigdy forma rządu, która nie będzie ze strony narodu długim szeregiem wypadków, nieszczęść, wysiłków i podjętych prób”. Istotnie, dopiero taka walka nauczy naród polski rozumieć swoją Konstytucję i cenić ją nadewszystko.

19.IX.1927.

POWTÓRZYĆ jeszcze raz, że Polska jest młodszą siostrą Francji, a Warszawa Paryżem północy, że na Wawelu mieszkał Walezy, a w Wersalu Leszczyńska, byłoby szerzeniem wiadomości pożytecznych w zakresie szkoły powszechnej, ale mało posuwałoby nas naprzód na drodze wzajemnego poznania się, zrozumienia i zbliżenia. Myślę, że takie właśnie zbliżenie i zrozumienie bardziej nas może łączyć ze sobą, niż dodanie bardzo nawet dla nas korzystnych zastrzeżeń i klauzul w sprzymierzeńczych traktatach i konwencjach. Na to, żeby wspólnie działać, trzeba przez dłuższy czas wspólnie myśleć i wspólnie różne sprawy odczuwać.

Od czasu do czasu zjawia się ktoś, kto, jak Boy, żelazną pracowitością i szalonym wysiłkiem, z zupełnem niemal zatraceniem niesłuchanie oryginalnej twórczości własnej, postanawia sobie nauczyć nas, czem właściwie jest Francja w dziedzinie wielkiej myśli, poczem dokonywa pracy, jakiejby w normalnych warunkach mogło dokonać kilka połączonych departamentów, towarzystw i akademij. Rzuca na stół czytelnika

polskiego dziesiątki, nieza długo już setki świetnie przełożonych arcydzieł literatury francuskiej, potem dwojąc się i trojąc rzuca się do wspaniałego najazdu propagandowego na wszystkie znaczniejsze miasta francuskie, mówi Francuzom o Polsce, co ważniejsza — mówi Francuzom w sposób przykuwający ich uwagę o Francji i wraca nietylko z triumfem, ale z pożytkiem większym może, niż odniosła współcześnie odbywająca się nasza wycieczka parlamentarna. Ale Boyów jest mało, żeby już nie powiedzieć — jeden jest Boy.

Żałuję bardzo, że w dziedzinie, do której oświście przywiązują tak wielką wagę, w dziedzinie nauki, czy jeśli kto woli — sztuki rządzenia Państwem, tak mało chcemy korzystać z doświadczeń narodu francuskiego, najbardziej może zbliżonego do nas duchowo narodu w Europie współczesnej. Nie chcę przez to wprowadzić bynajmniej powiedzieć, iż historia jest mistrzynią życia, wobec czego należałoby jaknajrychlej sprowadzić z Paryża parę specyfików na nasze niedomagania polityczne, zwłaszcza na niedokrwistość naszego myślenia politycznego. Ale wydaje mi się, że, gdybyśmy, zamiast przerzucania się od przedwczesnego pesymizmu do naiwnych złudzeń, zechcieli się przyrzec, jak inne narody lepiły swoje Państwa, ile przy tej sposobności popełniały błędów, ile tam było głupstw, tragedij i nawrotów na porzucone drogi — byłoby nam łatwiej żyć i spokojnie pracować. Zrozumielibyśmy może wówczas łatwiej, że drogę, którą inni przebyli przed kilkudziesięciu laty, my musimy przejść z pośpiechem za nimi dzisiaj i jutro.

Spróbujmy porozumieć się na paru przykładach. Są u nas ludzie, którzy pełni zniechęcenia z powodu losu pierwszych naszych trzech Prezydentów dochodzą do wniosku, iż wogóle instytucja ta w jej dotychczasowym kształcie jest dla Polski nie do zastosowania. Naczelnik Państwa Piłsudski opuścił Belweder po czteroletnim urzędowaniu pełen goryczy i zniechęcenia. Narutowicz został zamordowany, zanim zdążył ujawnić swoją niepospolitą wartość. Wojciechowski po trzydniowym oblężeniu we własnej rezydencji był zmuszony do ustąpienia. Wszystko to są rzeczy niewątpliwie przykre i niewłaściwe. Ale przypomnijmy sobie, jak się to odbywało we Francji. Pierwszy Prezydent Republiki Thiers został naprzód uznany przez Zgromadzenie Narodowe za męża, który się dobrze zasłużył Ojczyźnie, a wkrótce potem przez to samo Zgromadzenie usunięty dla taktyki dnia bieżącego, jak zbyteczny sprzęt. Drugi, marszałek Mac-Mahon, nie widział innego wyjścia, niż podanie się do dymisji, stosując się bowiem do rady Gambetty musiał najprzód się poddać, a potem ustąpić. Trzeci, Grévy był wprawdzie dwukrotnie obrany na Prezydenta, ale koniec końcem wygnany dość brutalnie z Pałacu Elizejskiego. Czwarty, Sadi-Carnot, padł od sztyletu anarchisty. Piąty, Casimir-Perrier, po kilkomiesięcznem urzędowaniu uciekł ze swojego wysokiego stanowiska, wołając publicznie, iż nie może się z tem pogodzić, aby jego wyłączną czynnością było prezydowanie na uroczystościach publicznych. Nie będę już rozszerzał się nad tem, że od czasu Ludwika XVI, któremu

z pewną ostentacją ucięto głowę na placu Zgody w Paryżu, jeden tylko jedyny z późniejszych władców Francji — zgrzybiały Ludwik XVIII — umarł spokojnie na swoim urzędzie, a i ten uprzednio przez długie lata musiał jako tułacz siadywać u cudzego ogniska. A mimo to wszystko, czy może właśnie dlatego urząd Prezydenta Republiki Francuskiej jest dziś instytucją zupełnie ustaloną, o ściśle określonych kompetencjach i sposobie działania, przyczem nienajmniej chyba godną uwagi jest rzeczą, iż kompetencje te od chwili określenia ich przez Konstytucję, od r. 1875, nie uległy zmianie ani na włos.

A teraz, jeśli chodzi o całość tego ustroju parlamentarno-demokratycznego, który tak szybko zdążył nam zbrzydnąć, Francja doszła do niego drogą niezbyt długą, ale niesłychanie pełną wybojów. W ciągu 82 lat widziała trzy republiki, dwa cesarstwa, monarchję absolutną, monarchję konstytucyjną, monarchję wynikłą z rewolucji. Formą ostateczną okazała się republika parlamentarna, która trwa już trzy razy dłużej niż najdłuższe poza nią panowania Ludwika Filipa albo Napoleona III. W ciągu swojego 57-letniego żywota przechodziła ciężkie kryzysy: wybuch szaleństwa podczas komuny, tępy opór monarchistów, wojnę z potężną instytucją kościoła rzymskiego, obmierzłą chorobę korupcji parlamentarnej, ujawnioną w sprawie panamskiej, śmieszne, ale dość groźne awantury generała chorego na niewczesną ambicję, rozdzierającą do podstaw sprawę Dreyfusa. W roku 1914 wydawała się być społeczeństwem, które zatyło się w dobrobycie.

Potem przyszła straszliwa próba — wojny. Półtora miliona trupów, miasta starte z powierzchni ziemi, cztery lata bohaterskiego wysiłku, godnego Plutarcha. Doprawdy, coś musi być wart system, który pozwolił to wszystko przetrzymać.

Błędy jego są znane oddawna. Żaden z poprzednich systemów nie podlegał krytyce tak jawnej, tak bezwzględnej, jak system parlamentarny we Francji. Atakowali go monarchiści, których niebawem zluzował atakiem jeszcze bardziej strasliwym syndykalizm. Po wojnie doszedł do nich bolszewizm i faszyzm. Cały ten tłum malkontentów ma swoje organizacje, swoją prasę, swoich deputowanych. Wiele z zarzutów, rzuconych w twarz republice, uznane jest za słuszne nawet przez jej obrońców. „Walc portfelów”, nieustające zmiany gabinetów są częstsze niż u nas za czasów najbardziej wybujałego sejmowładztwa. Nie jest rzadki w życiu publicznym człowiek, dla którego polityka jest sposobem robienia kariery. Rozdrobnienie stronnictw, ich słabe podstawy ideowe, jest gorsze niż u nas. Każda konsjerżka ma swoje opinie polityczne, ale Państwem rządzi oligarchja zawodowych polityków, co u nas, nawiasem mówiąc, tak niesłychanie gorszy umysły prostaczków umysłowych, paplających o polityce.

A jednak mimo wszystko rozwój Państwa jest we Francji krzywą całkiem prawidłową i stale wznoszącą się. Dzięki doprowadzonemu do ostatecznych granic systemowi interpelacyj parlamentarnych, każdy z ministrów czuje ciągle ostrze szpady na swoim sercu. Ale Francja nie stoi tylko na ministrach, którzy

są jedynie wyrazem opinii, będących własnością ogółu. Gabinety sypią się jak gruszki, ale w ciągu kilkudziesięciu lat republika wzmogła niesłychanie dobrobyt, była do wojny bankierem świata, stała się drugim co do wielkości państwem kolonialnym, uporządkowała swoje stosunki wyznaniowe, postawiła pracę ludzką na właściwym miejscu, nie przestała zasypywać świata wynalazkami, olśniewać go głębią myśli, pociągać urokiem swojej kultury. Musi być w tem wszystkim sekret, którego myśmy jeszcze nie zdołali odgadnąć

Myślę, że jest ich nawet kilka. Przedewszystkiem polityk francuski pamięta zawsze i wszędzie, że gry partyjnej nie można przeciągać poza pewne granice. Państwo musi być obsłużone, a jego koło rozpędowe musi gładko przechodzić przez martwe punkty. Poza tem, Francuz, który jest jak my lekkomyślny, często jak my powierzchowny, nauczył się w momentach ostrego sporu, w chwilach trudnych i ciężkich myśleć mózgiem, a nie wątrobą, albo upadłem sercem. Wreszcie — i to nie najmniej ważne — Francja przeszła już drogę, na którą my dopiero wkraczamy, zna wady swojego systemu, ale pamięta, że inne, których już próbowała, są jeszcze mniej pewne, mniej stałe, mniej rozsądne od niego. I po tylu próbach ma naród francuski tę ambicję, że nie potrzebuje go nikt za uszy do lepszego jutra prowadzić.

29.X.1927.

SEJM czy Ojczyzna? Alternatywa, przyznaję, nie-tylko osobliwa, ale całkiem dziwaczna; autorstwo jej jednak nie należy do mnie. To p. prof. Znamierowski w dwóch długich artykułach, umieszczonych niedawno p. t. „Miłość Sejmu czy miłość Ojczyzny” w „Kurjerze Porannym”, usiłuje dowieść, że miłość — ściślej według mnie powiedziawszy: obrona parlamentaryzmu naszego — jest przestępstwem w stosunku do Polski. Przy tej sposobności autor obsypuje mnie huraganowym ogniem zarzutów i oskarżeń, twierdząc, iż nastał czas, kiedy generalna ocena mojej działalności politycznej staje się koniecznością. Pozwolę sobie nie zgodzić się z tym jedynym punktem osobistych zarzutów p. Znamierowskiego, pozostawiając resztę bez odpowiedzi. Sądzę, że Polska ma ciągle jeszcze zbyt wiele kłopotów na głowie, ażeby się miała zajmować moją skromną osobą. Poza godnością bezpartyjnego posła w napół martwym Sejmie nie zajmuję w tej chwili żadnego stanowiska urzędowego, nie wpływam w najmniejszej mierze na sposób rządzenia Państwem, nie tworzę, nie chcę tworzyć żadnej grupy, nie pretenduję

do niczego więcej, aniżeli do prawa głosu, jakie winno przysługiwać każdemu wolnemu obywatelowi. Jeżeli chodzi o spokój wewnętrzny, wystarcza mi opinia szczupłej garstki przyjaciół, których nawzajem szanuję, i własne sumienie. O ile zaś ktoś chce zaprzętać moją i publiczną uwagę ustalaniem faktu, iż jestem tępym doktrynerem, pozbawionym zmysłu realizmu politycznego, osobą o ciasnej umysłowości i chwiejnym charakterze, zmuszony będę zaznaczyć, iż nawet, o ile tak jest, nie są to jeszcze tytuły do chwały obecnego Rządu, ani argumenty za zmianą ustroju naszego Państwa.

Co się tyczy mojego stosunku do obecnego Rządu, jestem jego opozycją, nie jestem jednak zajadłym jego przeciwnikiem, zaprzeczającym mu z pianą na ustach wszelkiej wartości z reguły zawsze i wszędzie. Nie jest to mój sposób prowadzenia dyskusji i dlatego nie jest prawdą, jakobym nie dostrzegał zgoła żadnej poprawy stanu gospodarczego. Jeszcze w grudniu r. ub. stwierdziłem publicznie, że „gospodarujemy nieco przyzwoiciej i troszeczkę oszczędniej, przytrzymaliśmy walącego się złotego, zwiększyli pokrycie, spłacili trochę długów, zrównoważyli budżet, zwiększyli wywóz, zmniejszyli bezrobocie”. W lipcu r. b. w ankiecie warszawskiego pisma „A. B. C.” na temat wartości Rządu, przyznałem, że Rząd „uporządkował gospodarkę państwową, uzdrowił w znacznym stopniu budżet, odgrodził go od niezdrowych wpływów politycznych, wprowadził niesłychanie pożądaną stałość pracy... Ogólny rezultat byłby naogół raczej

dotadni (w dziedzinie gospodarczej), gdyby nie kryjący w sobie groźne następstwa fakt, że poza pewnymi polepszeniami kryje się coraz bardziej dotkliwa nędza klas pracujących". Od tej pory minęło kilka miesięcy, po których upływie chętnie gotów jestem uznać, że poprawa stosunków gospodarczych posunęła się dalej. Bolesna i niebezpieczna różnica pomiędzy zarobkami klas pracujących a ich kosztami utrzymania przestała się pogarszać, a osiągnięta pożyczka zapewnia warunki większej trwałości rozwoju ekonomicznego. Jeżeli już mówimy o pożyczce, muszę przyznać, że, gdybym był premierem, zawarłbym ją prawdopodobnie na tych samych ciężkich warunkach, bo innych w tej chwili Polska otrzymać nie może, ale prosiłbym życzliwą sobie prasę, aby nie otaczała tego faktu zgola niepotrzebnym, a nawet szkodliwym mirażem złudzeń o odniesionych dzięki stanowczości Rządu zwycięstwach i poprawie warunków. Kraj ma prawo nie tylko wiedzieć, ale i rozumieć, co Rząd robi w jego imieniu. Temniemniej, pomimo te niewłaściwości myślę, że Rząd obecny ma prawo zapisać na swoje dobro w dziedzinie uzdrowienia gospodarki państwowej pewne czynny dodatnie i pożyteczne; bodajby to jedno, że potrafił kontynuować dzieło naprawy, rozpoczęte przez objęcie przez niego władzy, i skorzystać, w pewnej mierze przynajmniej, z dobrej konjunktury światowej, jaką przeżywalismy przez dłuższy szereg miesięcy.

Ale z tego nie wynika bynajmniej, aby w każdej dziedzinie wszystko, co Rząd uczynił, przyjmować ze czcią bałwochwalczą, choćby się to uważało za szkodę

i błąd. Wolno być zwolennikiem obecnego Rządu, wolno mu nawet pomagać w robieniu błędów, jeśli ich nie umie się dostrzec, nie wolno tylko być w stosunku do niego sentymentalną kochanką, która się wyrzeka krytycznego myślenia.

Za taką ciężką szkodę, groźną w swoich szkodliwych następstwach, uważam to wszystko, co Rząd robi w dziedzinie ustrojowej. Jego nieustające swary z izbami ustawodawczymi obniżają powagę obu najwyższych instytucji Państwa: Sejmu i Rządu. Jego metody walki drą w strzępy Konstytucję, co zresztą jest jedynym sposobem przypomnienia, że nie została ona jeszcze zniesiona. Podważa poszanowanie prawa, jakgdyby nie pamiętając, że Państwo jest przede wszystkim instytucją prawną i że celowość, która ma utrzymywać siłę i znaczenie Rządu, nie może w niem dominować nad legalizmem. Utrudnia tem samem zmałowanej i mało dojrzałej duszy polskiej osiągnięcie równowagi moralnej, z jednej strony pogłębiając w niej pierwiastki bierności, z drugiej podtrzymując warunki, w których nieugaszanym ogniem tli się w niej odwieczny jej składnik — warcholstwo.

Przechodząc do zagadnień bardziej konkretnych i zarzutów bardziej umiejscowionych, Rząd niszczy parlamentaryzm, nie dając wzamian za to żadnej koncepcji prócz rządów osobistych. Tylko ludzie bardzo opieszali w myśleniu i niedbali w obserwacji mogą przypuszczać, że nie chodzi o zniszczenie Sejmu, tylko o jego poprawienie. Nie poprawia się nikogo, bijąc go po twarzy. Taki czyn może być tylko aktem

zemsty albo chęcią zniweczenia moralnego tego, kogo się bije; pierwiastku twórczego brak tu zupełnie. O ile Rząd dążyłby istotnie do poprawy Sejmu, miał po temu po zwycięstwie majowem wszystkie drogi otwarte przed sobą. Jeżeli Sejm chory był na uwiąd myśli, mógł go zapłodnić głęboko przemyślaną inicjatywą ustawodawczą. Marazm, który nękał Sejm w ostatnich miesiącach okresu przedmajowego, można było przełamać, zachęcając go do wspólnej pracy. Ta szczerą chęć współpracy, połączona z myślą istotnie twórczą, oparta na sile płynącej z zaufania kraju, mogła była pozwolić Rządowi stać się w Sejmie ośrodkiem kryształizacyjnym, uśmierzając nadmiernie wybujałe właśnie stronnictw.

Nie wybrano żadnego z tych sposobów. Zamiast dopomóc Sejmowi w oczyszczeniu się z przywar, Rząd wolał grać na zniżkę jego wartości. Podziału władz dokonano w sposób niesłychanie osobliwy, wytworząc między naczelnymi organami Państwa stan ciągłej walki, podsycanej wzajemną niechęcią, nieufnością i wzgardą.

W tej walce jedna ze stron musi ostatecznie ulec zniszczeniu, żadne bowiem Państwo nie jest w stanie przez czas dłuższy wytrzymać tak dziwnego układu stosunków. Narazie Sejm trzymany jest w klatce, jakgdyby dla lepszego okazania jego ohydy krajowi. Jeżeli za kilka tygodni drzwi klatki uchylą się przez zarządzenie wyborów, Sejm, który zbierze się w marcu, będzie miał znacznie więcej siły i ochoty do walki, ale będzie też w łonie swoim nosił zarodki wszystkich

niewyleczonych chorób. Starcie będzie nieuniknione. Jeżeli nawet Sejm, nie czując się dość mocnym i dość uzgodnionym wewnątrz, nie odmówi Rządowi wręcz swojego zaufania, odmówi mu napewno pełnomocnictw, od których Rządowi będzie dość trudno odzwyczaić się. Dalsze zaostrenie sytuacji przyjdzie przy uchwalaniu Konstytucji, od czego trudno będzie zarówno jednej, jak drugiej stronie uchylić się, zwłaszcza, gdy podczas najbliższej kadencji ma Sejm mieć prawa konstytuancy. Być może, iż znaczna większość stronnictw, porzucając te kilka płaszczyzn, na których dziś płacze się i wikła polityczna myśl polska: płaszczyznę gospodarczą, społeczną, wyznaniową, narodowościową—zjednoczy się na jednej tylko płaszczyźnie zagadnień ustrojowych i będzie usiłowała obalić Rząd oraz ująć władzę w swe ręce. Prawdopodobieństwo takiego obrotu rzeczy jest zresztą niewielkie. Sejm, rozdarty od pierwszego posiedzenia ostrym sporem narodowościowym, mało dojrzały do rozumienia wagi zagadnień ustrojowych, odzwyczajony od działania i nienawykły do koordynowania swych rozbieżności, ograniczy się raczej do ostrych odruchów antyrządowych. Nie wdając się w przepowiednie, dziś już można przewidzieć, iż walka toczyć się będzie w warunkach, w których jej ostateczne wyniki wydają się w każdym razie dosyć posępne. Albo wrazie przegranej Rządu, wraz z jego upadkiem uległyby zatraceniu niewątpliwe, mimo wszystko talenty i walory Marszałka Piłsudskiego, zmarnowany zostałby ten kapitał zaufania olbrzymiej części narodu, którym on kilkakrotnie już rozporządzał, albo

wszystko zredukuje się do prostego aktu siły. Sejm zostanie usunięty i zredukowany do roli Stanów Generalnych, które się wzywa raz na rok dla wysłuchania postanowień władzy, a narzucony Polsce nowy porządek prawny będzie dalszym etapem na drodze do jej rozproszkowania.

To ścieranie wewnętrznej struktury Polski na proch wydaje mi się być konsekwentnie przeprowadzanym systemem. Od dłuższego już czasu jesteśmy świadkami niszczenia wszystkiego, co mogłoby być jakimś wyrazem zorganizowanej woli społeczeństwa. W chwili obecnej nietylko prawie że nie ma już w Polsce Sejmu, ściśle biorąc nie ma i Rządu. Być może, że tych kilkunastu panów, którzy się od czasu do czasu zbierają w Pałacu Namiestnikowskim, są ministrami; nie są oni w każdym razie członkami nowocześnie pojmowanego Rządu, odpowiedzialnymi zbiorowo za całość spraw państwowych i pamiętającymi, że jednym z głównych przywilejów ministra jest prawo do podania się do dymisji, jeżeli bodajby w dziedzinie swojego resortu nie chce odpowiadać za zarządzenia sprzeczne z jego poglądem. Samorząd nie cieszy się opieką Rządu ani nie ściąga na siebie jego bacniejszej uwagi. Wybory zarządzane sporadycznie są tylko ćwiczeniami do walnej kampanji sejmowej. Ustaw, kładących głębsze podwaliny pod zdrowy system samorządowy, Rząd ani sam nie przygotowuje ani nie pozwala opracować Sejmowi. Wszelkiego gatunku rady przyboczne — prawnicza, rolnicza, przemysłowa i, jak się tam jeszcze nazywały te licznie tworzone

przed rokiem noworodki, zamarły tak dalece, że nikt nie umiałby powiedzieć, czy one dzisiaj jeszcze faktycznie istnieją. Nawet w instytucjach społecznych daje się dzisiaj gdzieś zauważyć tendencja do zagarniania ich pod wpływy i zarząd urzędników. W ten sposób Polska niezaślugo mogłaby się stać stepem, po którym spacerować wolno tylko samotnie, i na którym wszelka myśl i wola narodu mają być skoncentrowane w mózgu i sercu jednego człowieka.

Uważam to za najbardziej ryzykowny krok, jaki byśmy mogli uczynić. Popierwsze dlatego, że społeczeństwo, żyjące w wieku XX, ma zbyt liczne i różnorakie potrzeby, interesy i warstwy, aby dało się je wszystkie wtłoczyć w szablon biurokratyczny. Zdolność do samorządnego organizowania się stanowi dzisiaj o zdolności do życia narodu. Powtóre dlatego, że niektóre prądy społeczne, jak ruch robotniczy, albo dążenia narodowościowe, są zbyt potężne i żywe, aby się dały wepchnąć do zakamarków gmachów rządowych: raczej zejda pod ziemię, ryjąc kanały spiskowe. Potrzebie dlatego, że biurokracja polska nietylko musiałaby zwyrodnąć jak każda inna, ale daleka jest od stopnia dojrzałości, któryby uprawniał ją do brania w swoje ręce całego życia polskiego. Uważałbym za lichy interes zamienić niedojrzały Sejm na zieloną administrację. Poczwarne—i to najważniejsze — rządy dyktatorów mogą być w każdej chwili przerwane nietylko przez bunt albo akt teroru, ale poprostu przez gripę lub wiek. Nikt nie umiał mi dać dotychczas odpowiedzi, kto wrazie ubytku obecnego rządcy

Polski miałby wziąć po nim władzę. Wedle moich przypuszczeń, o ile Polska nie nauczy się używać rozsądnie systemu republikańskiego, sięgać w niej po władzę będą drogą gwałtu te czy inne kliki kolejno, nie myślę bowiem, byśmy obioru elekta mieli dokończyć *viritim* przez konwokację wojska polskiego.

Oto dlaczego uważam za obowiązek swojego sumienia być w opozycji do niektórych poczynań obecnego Rządu. Nie taję się z uznaniem dla pożytecznych stron jego działalności, boję się jednak, że Polska, podleczywszy się z jednych chorób, wpada w inne jeszcze groźniejsze. Nie zwalczam ludzi, ale to, co mi się wydaje ich błędem. Niedoskonałości systemu, wedle którego żyliśmy do maja, chciałbym poprawić na stałe, a nie na okres życia jednego człowieka. Nasz obecny porządek prawnopubliczny jest automatyzmem nastawianiem się na dalsze konflikty. Ludzi, którzy się cieszą „z uspokojenia”, jakie nastąpiło, jakgdyby życie było salonową komedią, na którą się chodzi dla uspokojenia nerwów, musiałbym ostrzec, że pod spokojną taflą powierzchni kłębią się wiry coraz mocniejsze. Nędza się zmniejsza, a mimo to rośnie opozycyjność, której komunizm jest najjaskrawszym, ale nie jedynym wyrazem, podczas gdy prześląganiami coraz bardziej stają się klasy posiadające. Nawet gdyby twórcy obecnego systemu udało się zręczną taktyką ominąć wszystkie rafy, Polska stanie się wkońcu niemowlęciem, które nie potrafi chodzić bez niańki. Jeżeli spadnie na nią wówczas kryzys, jaki spada od czasu do czasu na każde w świecie Państwo, nie

pomoże jej genjusz tego czy innego wodza. Genjusz na pustyni jest bardzo słabym człowiekiem, my zaś stanowczo zbyt wiele marzymy o bohaterstwie, zbyt mało zaś pamiętamy o zdrowym rozsądku.

O kapitalnem zagadnieniu możliwości parlamentaryzmu w Polsce i wartości jego dla demokracji pomówimy oddzielnie.

31.X.27 r.

PARLAMENTARYZM A DEMOKRACJA

NIGDY i nigdzie nie twierdziłem, że parlamentaryzm jest jedynym ustrojem, odpowiednim dla demokracji. Przedewszystkiem nauka o Państwie unika twierdzeń tak kategorycznych. Wszystko w niej jest płynne, zależne od warunków czasu i miejsca. Republika dla Francji 48 r. okazała się niepotrzebną i niezrozumiałą maszyną, której nie umiano obsłużyć. Ta sama republika w dwadzieścia kilka lat później, w okresie życia jednego pokolenia, stała się w tym samym kraju najtrwalszą formą rządzenia. Nie mógłbym też żadną miarą zapomnieć, że najpotężniejsza z obecnych republik — Stany Zjednoczone Ameryki Północnej — i najstarsza z demokracji — Związkowe Państwo Helweckie nie znają parlamentarnej odpowiedzialności ministrów. Muszę się wobec tego ograniczyć do stwierdzenia, że parlamentaryzm uważam za formę ustroju najbardziej odpowiednią dla Polski współczesnie żyjącej.

Do wniosku tego dochodzę, eliminując sposoby rządzenia bardziej złe i mniej pewne. Zwolennikom t. zw. systemu amerykańskiego radziłbym na początek

przeczytać druzgocącą go krytykę prof. Woodrowa Wilsona, późniejszego Prezydenta Stanów, który miał możność sprawdzić na własnej skórze słuszność swoich zarzutów. Gdyby to komu nie wystarczało, raczy sobie przypomnieć losy wszystkich innych republik amerykańskich; w których wytworzenie dwóch niezależnych od siebie ognisk władzy dawało przez długie dziesiątki lat stałe wrzenie, likwidujące się najczęściej w rewolucji. Cokolwiekby zresztą można o tym systemie powiedzieć, jest on oparty na decentralizacji, do której nie dojdziemy za 50 lat, i na anglosaskim poszanowaniu prawa, które dla nas jest ciągle mitem.

W ustroju szwajcarskim rząd nie jest wprawdzie odpowiedzialny przed parlamentem, ale jest najzupełniej od niego uzależniony, jest pro prostu wykonawcą jego woli. Konstytucja szwajcarska nie jest zresztą artykułem na wywóz. Na to, żeby się nią posługiwać, trzeba czuć i myśleć jak Szwajcar. Podstawą tego myślenia jest niemający u nas prawa obywatelstwa pogląd, że i nasz przeciwnik ma także prawo wpływania na bieg spraw państwowych i że, jeżeli na przykład przy wyborach nie ma on widoków przejścia z listy swojego stronnictwa, można mu udzielić miejsca na własnej liście, o ile go się uważa za pożytecznego w legislaturze. To już dla nas nie mit, ale bajka o żelaznym wilku.

O klasycznym faszyzmie i dyktaturze sowieckiej możemy chyba nie mówić, nie są to bowiem sposoby urządzania Państwa, tylko sposoby opanowywania centrów jego władzy przez partje, kliki i szajki.

Pozostaje monarchja. Jako etykieta ogólna nie mówi to nic, chyba że przez swoją podstawową zasadę albo jest sprzeczna z duchem demokracji i jest wtedy mojem zdaniem szkodliwa, albo z nim zgodna i w takim razie zbędna. Przechodząc do poszczególnych odmian, możemy chyba wyrzucić za nawias monarchję z Bożej łaski Ludwika XIV, czy Józefa II. Taniec szkieletów, dość fascynujący w muzyce Saint Saensa, w realnej rzeczywistości byłby obmierzły. Monarchja parlamentarna zawiera w sobie to wszystko, co tak zaciekle zwalczają przeciwnicy parlamentaryzmu i jeszcze coś więcej, co nie może pociągać żadnego demokraty. Pozostawałaby monarchja konstytucyjna. I znowuż, jak w systemie amerykańskim, dwutorowość władzy, której wyjściem w szarych czasach pokojowych jest zupełne zlekceważenie parlamentu, a w chwilach o wysokiem napięciu ucieczka od przywilejów władzy wykonawczej, zwykle o chwilę za późna. Znamy zresztą ten system aż nadto dobrze z okresu przedwojennego. Majestat, który rozsadza lub przekupuje parlament małemi szacherkami, pod nim ministrowie, którzy zaledwie się znają, co nie przeszkadza im podkopywać się zaciekle w zabiegach o łaskę pańską. Niektórzy z nich są dzielnymi administratorami, ale z reguły drżą ciągle, aby ich kaprys władcy nie zdmuchnął. Inni są kretynami, na których obnażenie nicości trzeba długich i ciężkich lat. Monarcha ma za sobą tradycję i prawo formalne, parlament ma budżet. Jeżeli chce to prawo wykonywać sumiennie i energicznie, dla monarchy nie starczy już miejsca. Naogół,

jak wykazuje praktyka europejska z XIX i XX stulecia, instytucja mało trwała, o silnej tendencji do wyraźnych przechyleń na jedną lub drugą stronę.

Nie wiem, który z powyższych systemów użyłby dziś przez głosowanie uznanie przeciwników parlamentaryzmu polskiego. Przypuszczam, że w każdym razie na decyzji ich ciążyłby bardzo znacznie tak rozpowszechniony dziś u nas kult wielkich ludzi, którym trzeba zapewnić jaknajwięcej miejsca dla swobody ruchów. Kult kształtujący się bardzo po polsku, widzący w wielkim człowieku nie kwiat i uzupełnienie zbiorowości, ale jej zaprzeczenie. Nie zapominam bynajmniej o roli, o potrzebie nawet wielkich ludzi w społeczeństwie demokratycznym. Co więcej uznaję, iż w pewnych okolicznościach i w pewnych ściśle określonych formach może naród najbardziej nawet demokratyczny powierzyć jednemu lub kilku obywatelom władzę o całkiem wyjątkowym zakresie i kompetencjach. Tak czasu wojny upoważniła Szwajcaria Rząd swój nie tylko do tworzenia nowych norm prawnych, ale nawet do postępowania wbrew istniejącym ustawom i nie przestała mimo to być najbardziej demokratycznym narodem. Ale to się może dziać tylko na mocy świadomości powziętej decyzji społeczeństwa, a nie na mocy dowolnej interpretacji swojego posłannictwa ze strony dyktatora, ani na mocy łaski Bożej, ani nawet na mocy quasi-plebiscytów, które, jak uczy historia, bywają niekiedy zorganizowanem na wielką skalę złudzeniem. Nigdy także i w żadnym wypadku nie może się to dziać kosztem

unicestwienia najgłębszych fundamentów ideologii demokratycznej.

Za takie podstawy zasadnicze demokracji uważam prawo wpływania możliwie największej ilości obywateli na bieg spraw państwowych i konieczność najściślejszego nadzoru nad czynnościami osób, którym powierzono funkcje publiczne. Nie będziemy toczyli sporów teoretycznych co do wartości tych zasad. Zapisano już w tej sprawie sterty papieru, a jeżeli kiedyś na kuli ziemskiej pozostanie stu ludzi, spór będzie się toczył nadal, nie jest to bowiem tylko walka koncepcyj, ale ścieranie się interesów, w pewnej mierze temperamentów i usposobień. Ale w naszych własnych, lokalnych stosunkach istnieją względy całkiem praktyczne, które przemawiają za koniecznością jaknajrychlejszego zdemokratyzowania Polski. Jesteśmy narodem biernym o słabem napięciu woli. Jesteśmy prócz tego narodem, który nie bardzo umie urządzać swoje życie zbiorowe. Tak było w okresie Rzeczypospolitej szlacheckiej; niewola pogorszyła stan rzeczy, który i tak był zły. Będąc narodem biernym, którego członkowie nie umieją współżyć ze sobą, zniechęcamy się niesłychanie łatwo przy wszelkich próbach poprawy i z lubością przekazujemy każdemu, kto podjąć się tego raczy, kłopot o budowę naszego Państwa, naszego wspólnego życia, naszej przyszłości. Polska jest ciągle w poszukiwaniu proroków, którzyby ją wprowadzili do ziemi obiecanej, jakkolwiek przy zdarzającej się okazji lubi proroki swe kamienować. Wynikiem takiego stanu rzeczy jest zupełny brak poczucia

odpowiedzialności u przeciętnego obywatela za to, co się stać może i wielka niestałość form życia publicznego. Dla znakomitej większości obywateli polskich Państwo jest ciągle jeszcze rzeczą daleką, mało zrozumiałą i bezmała obcą. Woli jego należy się poddać, jeśli ono tego stanowczo wymaga i grozi represją, ale nie dlatego, żeby wola Państwa była wolą naszą, tylko iż jest ona od naszej mocniejsza. O tych, którzy rządzą Państwem, albo którzy je reprezentują, przeciętny Polak mówi: „oni” (W tej chwili mówi się „on”).

Nie znam żadnego innego sposobu na wyleczenie się z tej choroby, niż przymuszenie obywateli drogą nakazów konstytucyjnych, iżby raczyli brać udział w budowaniu Państwa, conajmniej zaś ujawniali swoje w tej mierze opinie i ponosili za nie, bodajby w swoim sumieniu, odpowiedzialność. W języku codziennym nazywa się to powszechnem głosowaniem i systemem parlamentarnym. Przez dłuższy czas oczywiście popełniać oni będą mnóstwo błędów, które będą łatwym tematem oszczerstw, niesumiennych zarzutów i bezmyślnego śmiechu. Ale niema dziedzi-ny naszego odrodzonego życia państwowego, w którejbyśmy tych głupstw nie popełniali. Przeszliśmy czy przechodzimy, jak przez dziecinne choroby, przez nadmierny etatyzm, wielość urzędów, załatwiających te same sprawy, brak wykwalifikowanych pracowników na właściwych urzędach, korupcję, którą trzeba było powściągnąć drakońskimi karami. Gdybyśmy przy każdym z tych nieudanych narazie poczynañ

mieli załamywać ręce i wpadać w rozpacz, należałoby wogóle wyrzec się ambicji budowania własnego Państwa i sprowadzić Waregów, którzyby nami zarządzili.

Ani do wniosków tak daleko idących, ani wogóle do zniechęcania się nie widzę dostatecznych powodów. Jeżeli nawet Sejm do wypadków majowych nie wkroczył dość stanowczo na twardą i jasną drogę poprawy, trzeba przyznać, iż zaczął już wówczas dość jasno zdawać sobie sprawę z przyczyn swoich niedomagań. Ostatnie półtora roku pouczyły go także coś niecoś o skutkach jego błędów. Są to już w każdym razie warunki i zadatki zmiany na lepsze.

Nie mamy żadnego prawa przypuszczać, że ta zmiana nie może nastąpić, że system jest niezdolny do życia. Nie jest on przecie wymysłem polskiego doktrynerstwa, jak się komuś chce twierdzić. Istnieje od dawna i mimo wszelkie zarzuty, co większa, mimo istotne wady funkcjonuje niezgorzej nietylko w krajach o starej kulturze politycznej, ale nawet w państwach, powstałych niedawno, albo głęboko zreorganizowanych po wojnie. Może to być bardzo przykre dla naszej miłości własnej, że okazaliśmy się w tej dziedzinie mniej umiejętnymi od Czecho-Słowacji, Bałtów lub Jugosławji. Obawiam się jednak, że praktykowanie obecnego systemu może nas zepchnąć poniżej Hiszpanji lub Meksyku. W tym ostatnim kraju dobry tyran Porfirio Diaz piastował władzę dyktatorską 35 lat. Rządził umiarkowanie i mądrze. Budował koleje i porty, zaciągał korzystne pożyczki, wzmógł dobrobyt i oświatę, wytępił bandytyzm i łapownictwo. Kiedy

miał lat 80, wdzięczna ludność prosiła go o natychmiastowe opuszczenie kraju, ma już bowiem dosyć jego i jego dobrodziejstw. Od tej pory panuje tam anarchja i wojna domowa. Oto dość odstręczający przykład pożytecznych rządów jednostkowych — bez jutra.

Demokracja woli drogi może dłuższe i mniej efektowne, ale mające większe widoki trwałości. Nie da też w sobie wmówić, że dzisiejsza walka z parlamentaryzmem nie godzi w jej interesy. Ziemianie i przemysłowcy mają swoje syndykaty i Lewiatany, swoje Nieświeże i Dzikowy, któremi umieją załatwiać swe interesy. Demokracja, biedna w instytucje, środki i ludzi ma tylko Sejm, o ile chodzi o walkę prowadzoną środkami pokojowymi. Wypchnięta z Sejmu, który jeszcze długo będzie, być może, przegrywał, musi z konieczności przejść do akcji bezpośredniej, z wiecznie w takich wypadkach grożącym, niesłychanie łatwym obsunięciem się do strajków, aktów sabotażu i ciosów zadawanych naoslep. Nie mam wątpliwości co do wyników tej walki, jakkolwiek dokoła wyznawców obecnego porządku skupi się w niej przeciwko demokracji wszystko, co w Polsce jest samolubne i wsteczne. Żal mi tylko straconego czasu i sił.

1.XI.27 r.

U SCHYŁKU DRUGIEGO SEJMU

WYWIAD W „TYGODNIKU ILLUSTROWANYM“

NIEZALEŻĄCY obecnie do żadnego stronnictwa, bezpartyjny liberał i demokratą poseł Stanisław Thugutt, który bezkompromisowością zdobył sobie w kołach politycznych miano obrońcy parlamentaryzmu, — zapytany przez nas, dlaczego z taką wytrwałością broni parlamentaryzmu, chociaż, jak się to dziś w niektórych kołach słyszy, jest to forma mało aktualna w dzisiejszych stosunkach — odpowiedział:

— Chce pan powiedzieć forma, która przegrywa. Otóż przedewszystkiem niecała przegrana Sejmu jest wygraną Rządu. Różnicę zarabia ktoś trzeci, komu radziłbym dobrze patrzeć na palce. Tym trzecim jest komunizm. Pozatem, jeżeli nawet gra będzie długa, a perypetje jej dramatyczne, zwycięży ostatecznie, jak myślę, parlamentaryzm, który obecnie przegrywa i który jeszcze czas dłuższy będzie, być może, przegrywał. Stanie się tak dlatego, że jest to forma rządów najmniej ryzykowna, a najbardziej giętka w momentach kataklizmów, które w sposób nieunikniony i całkiem niezależny od woli ludzkiej walą się niekiedy na państwa. Jest to też forma, która najbardziej

plastycznie i jasno realizuje tendencje demokratyczne mas. Wcześniej zaś czy później masy muszą wejść w grę, jeżeli się parlamentaryzmowi przeciwstawia rządy jednostkowe i jeżeli się w ten sposób podważa w najgłębszym fundamencie istotę demokracji.

— Masy są jednak spokojne...

— Czy w tem niema przypadkiem dużo złudzenia i czy dobrze czytamy na barometrze politycznym? Jakkolwiekby zresztą było, podstawą ruchów dziejowych jest równie dobrze chęć jedzenia dosyta, jak wiekuiste dążenie do wolności. Naród stałby się trzodą, gdybyśmy wszystko w nim zredukowali do kwestji jedzenia. Co do mnie, staram się pamiętać o obu czynnikach i dlatego walczę o parlamentaryzm.

— Ale jakże długo jeszcze może trwać taka walka

— Nie wiem. Kilka miesięcy czy kilkanaście lat. W historii narodu będzie to zawsze tylko epizod. Osobiście zaś muszę się panu przyznać, że lubię płynąć po fali o szerokiem rozpięciu, bo tylko ona jest wielką falą.

— A czy przyszedł Sejm wyjaśni już sytuację?

— Wątpię. Jak dotychczas — idziemy po drodze łamania Sejmu, a nie wychowywania go. Wobec tego sprawa ustroju Państwa będzie musiała być rozstrzygnięta nietyle w drodze dyskusji, ile przez walkę. Ale do tej walki przyszedł Sejm będzie jeszcze niedostatecznie silny. Siłą parlamentu nazywam jego zdolność do tworzenia trwałej większości, mającej plan pracy na dłuższą metę. Być może jednak, że jakkolwiek przyszedł Sejm będzie prawdopodobnie trwał

krótko, istota sporu zdąży się w nim zarysować wyraźniej, a zagadnienia ustrojowe zaczną interesować w Polsce nie tylko specjalistów.

— Czy nie widzi pan możliwości pokojowego załatwienia sprawy. Np. przez zmianę ordynacji wyborczej?

— Nie widzę wogóle potrzeby zmiany ordynacji wyborczej poza wprowadzeniem bloków wyborczych, które z wielości naszych stronnictw zrobiłyby kilka zasadniczych kierunków. Można oczywiście ograniczyć prawo wyborcze i utrzymać w ten sposób sejm sytych, dobrze wychowanych i rozsądnie posłusznych. Można także wprowadzić jednomandatowe okręgi, podrywając tem istnienie stronnictw, które są bądź co bądź zorganizowaną formą walki. Można wreszcie, zahaczając już o konstytucję, znieść odpowiedzialność ministrów przed Sejmem, niwecząc tem wszelką możliwość kontroli biurokracji przez społeczeństwo. Idźmy zresztą do końca: można wogóle znieść instytucję Sejmu — mówię oczywiście o możliwości fizycznej. Ale to bynajmniej nie przerwie walki o parlamentaryzm, tylko ją raczej zaostrzy, być może — dopiero rozpocznie. Szkoda, że Polska we właściwym czasie nie przeszła przez okres oświeconego absolutyzmu. Wracać dziś do czasów Konfederacji Barskiej jest pomysłem sztucznym i przez to niewczesnym. Któryś z łaskawych krytyków porównał mnie do obrońców żrenicy wolności w walce z absolutum dominium. Porównanie kuleje na wszystkie cztery nogi. Absolutum dominium można było w dawnej Polsce straszyć co głośniejsze

szlacheckie dzieci. Dzisiaj, jeżeli co zwichnęło równowagę władz, nie jest nią napewno ciało ustawodawcze, które reprezentuje tendencje wolnościowe narodu.

— W sprawie głosowania powszechnego — pytam jeszcze naszego rozmówcę — nie jest pan skłonny do ustępstw?

— Nie jest to dla mnie temat do dyskusji. Prasa konserwatywna dziwi się ciągle, jak można nieokrzesanemu parobkowi dawać taki sam głos, jak wybitnemu uczonemu. Co do mnie, skłonny jestem, mimo wszystko, żeby nie łamać zasady, zrównać p. profesora w prawach z fornałem, jakkolwiek ten pierwszy, będąc najczęściej pozbawiony instynktu klasowego, któryby mu służył za busolę, i zajmując się polityką przygodnie, pływa najczęściej jak korek po mętnej fali dyskusji.

— I jeszcze jedno, panie pośle. Broniąc parlamentaryzmu tak, jak go pan rozumie, musi pan z konieczności być w opozycji w stosunku do obecnego szefa Rządu, którego zasługi ceni pan przecież wysoko...

— Jestem zawsze z głębokim szacunkiem dla zasług twórcy Wojska Polskiego, wodza w walce o niepodległość, pierwszego Naczelnika Państwa, który powołał Rząd Ludowy i w okresie zamachu ks. Sapiehy bronił praworządności. Ale uważałbym to za złą formę należnego mu szacunku dopomagać w utrwalaniu tego, co uważam za złe. Za złe uważam takie formy rządzenia, przy których trzeba ciągle przeska-kiwać przez prawo i przy których jego następca,

normalnie przez Prezydenta mianowany premier, nie mógłby się ostać nawet kilka miesięcy.

— A co miałby jeszcze do spełnienia obecny Sejm? — kończymy rozmowę.

— Skoro nie umiał ani obronić praw, jakie daje mu Konstytucja, ani umrzeć we właściwym czasie z honorem, nie jest on dziś tematem, godnym publicznej uwagi—odpowiada po głębokim namyśle p. Thugutt.

6.XI.27.

PARTYJNOŚĆ I PARTYJNICTWO

NIEMA dnia i niema bezmała stronicy, na którejby niektóre organy prasy polskiej nie piętnowały niesłuchanie ostro partynictwa, które paczy i kazi nasze życie publiczne. Gdyby im wierzyć dosłownie, jest to niebezpieczny wrzód, który się sformował na ciele Rzeczypospolitej, należenie zaś do partji jest sprawą, którąby właściwie należało ukrywać równie wstydliwie, jak chorobę kleptomanji albo perwersyjne skłonności.

Odrzuciwszy na bok przesadę, która nie jest bez celu, ale o której pomówimy za chwilę, można przyznać, że na dnie tego krzyku jest szczypta prawdy, o ile chodzi o partyjnictwo, to jest o przerost przywiązania, jakie normalnie każdy człowiek powinien odczuwać w stosunku do stowarzyszenia, którego jest członkiem. Oczywiście, partja nie może zasłaniać nikomu narodu i Państwa. Wzgląd na dobro partji nie uprawnia nikogo do czynów niemoralnych, świństw bowiem nie należy z reguły robić nietylko dla partji, ale nawet w imię miłości Ojczyzny. Dobrze jest przytem pamiętać, że oprócz partji, do której się należy,

istnieją inne partje o równem prawie głosu, o ile są tworzone w dobrej wierze i dla obsłużenia sprawy ogólnej.

Do tego miejsca możemy iść razem bez szczególnych trudności. Partyjnictwo, czyli przerost przywiązania do partji, jest stanem chorobliwym, jak wogóle każdy przerost i dlatego nie można go zalecać, jak się nie zaleca zbyt silnego bicia serca, elephantiasis, albo rozedmy płuc. Wydaje mi się jednak, że krzyk, o którym powyżej mówiłem, ma na celu wywołanie tak silnej reakcji, aby można było poprzez głowę partyjnictwa zastrzelić samo istnienie partyj. I tu już dalej nie możemy iść razem.

Niechęć ku stronnictwom datuje się u nas od dawna. W Warszawie już w roku 1906, to jest w pierwszych momentach bardzo mdłych jeszcze możliwości działania politycznego, ludzie, skądinąd rozumni i przyzwoi, pisywali płomienne protesty przeciwko „jarzmu partyjnemu”. Mówiło się z całą dumą: „nie należę do żadnej partji”, jakgdyby to miało znaczyć: „jestem dość mocny i mądry, abym mógł sam odrobić swoją część służby politycznej dla Państwa”. Dziś te nastroje zaczynają powracać. Dopóki są one dość śmieszną maską zbyt wysubtelnionej wrażliwości, która się cofa z odrazą przed brutalstwem walki politycznej, dopóki nawet są to objawy nadmiernie wybujałego indywidualizmu polskiego, nie miarkowanego kulturą współżycia społecznego, można nad tem przejść z lekkim wzruszeniem ramion do porządku dziennego. Ostatecznie, w najbardziej nawet wyrobionych politycznie

społeczeństwach wielu ludzi nie interesuje się czynną polityką, albo interesuje się nią poza obrębem wszelkich organizacji. Ale jeżeli dla uzasadnienia tych abstynencyj zaczyna się tworzyć fałszywe teorie, maska musi być zdarta, a sprawa wyświetlona nieco dokładniej.

Zarzuca się stronnictwom, iż niszczą one u swoich członków samodzielność myślenia. Tak jakgdyby po ziemi polskiej chodziły miliony obywateli, zdolnych do samodzielnego myślenia o zagadnieniach Państwa z jego olbrzymim i skomplikowanym budżetem, z jego wielością potrzeb, z których każda wyraża się w trudnej do obliczenia cyfrze nowych nakładów, wyśiłków i podatków, z jego polityką zagraniczną, w której tak wiele rzeczy jest parawanem, umyślnie stawianym dla zasłonięcia istoty sprawy, z jego wreszcie krzyżującymi się i zwalczającymi prądami społecznymi, narodowościowymi, religijnymi. W każdym społeczeństwie ilość ludzi, którzy jako tako orjentują się w całokształcie tych zawikłanych spraw, jest niesłychanie znikomą; grać biegle na tej klawijaturze o nieskończonej ilości oktav potrafi tylko genjusz, który zresztą składa się nie tylko z mózgu o wyjątkowej sile myślenia, ale z nadludzkiej pracy, wkładanej w czynności przygotowawcze. Przeciętny więc obywatel, który informacje polityczne zbiera w gazecie, czytanej niedbale przy rannej kawie, w przyjacielskich rozmówkach pomiędzy dancinżem a bridżem, niekiedy u ciotki znajomego referenta w któremkolwiek z ministerstw, nie potrzebuje się zbyt mocno obawiać

o zatracenie samodzielności swoich myśli w politycznym stronnictwie. Ostatecznie to, co tam otrzyma, będzie, normalnie biorąc, więcej warte, niż jego własny wkład.

Niewątpliwie, będą tam wzamian za to wymagali od niego, aby swoje poglądy dostosował do przeciętnego poglądu innych członków, który jest programem stronnictwa. Znany socjolog, piszący po francusku, Ostrogorski, dość słusznie twierdzi, że stronnictwa polityczne, kształtując się na sektach religijnych, jak one, praktykują zasadę, iż poza ich wyznaniem wiary niema zbawienia. Ale gdybyśmy tak dalece dbali o oryginalność swoich myśli, musielibyśmy unikać szkoły, która przeważnie kształtuje nasze umysły według dość martwego szablonu, prasy, zasypującej nas wiadomościami, jakich nie jesteśmy w stanie sprawdzić, kościoła, z którym wogóle niema żadnej dyskusji, a nawet każdej wybitniejszej umysłowości, któraby, zaciągnąwszy nas w haszcze dialektyki, narzuciła nam tam swoje poglądy. Prawda, że głupiec, któryby uniknął tych wszystkich niebezpieczeństw, pozostałby czystym głupcem, ale podział pracy we współczesnych społeczeństwach doprowadza do tego, że nie tylko się wspólnie fabrykuje, sprzedaje i przewozi, ale i wspólnie myśli, co zresztą nikomu nie przeszkadza rozwijać w pewnych dziedzinach własnej siły myślenia.

Wprawdzie owo wspólne myślenie i działanie ma być, jak twierdzą ludzie niechętni stronnictwom, jedynie pretekstem. Istotą rzeczy, mówią oni, jest żądza władzy ambitnych polityków, którzy zakładają stronnictwa,

żeby się pięć po nich w górę, jako po wygodnej drabinie. Nie przeczę, to jest także powodem istnienia stronnictw. Co więcej, nie chcąc być jednostronnie uparty, nie będę zamykał oczu na niebezpieczeństwo kostnienia w nich wszelkiej żywej i twórczej myśli, co stanowi ciężką przeszkodę w rozwoju ideologii każdego stronnictwa. Wiem, że dokoła szefa czy szefów tworzy się tam zawsze warstwa zrutyinizowanej biurokracji, ludzi żyjących ze stronnictwa, czy ludzi, robiących przez stronnictwo karierę, którzy tępią wszelką herezję wewnątrz grupy z zapalem i wprawą, jakiejby się nie powstydził najbardziej służbisty policjant i prokurator. Ale czy istniała kiedykolwiek w dziejach ludzkości organizacja zbiorowej pracy ludzkiej, w którejby najbardziej szczytne ideały nie podlegały takiej samej przykryj redukcji przy wcielaniu ich w życie. I czy istniała kiedy organizacja, w której walka z rutyną byłaby tak łatwa, jak nią jest w stronnictwie demokratycznym. Oczywiście, warchoł, który do niego wchodzi dla wywrócenia wszystkiego do góry nogami, dla dopasowania wszystkich poglądów do swojego widzimisię, rozedrze stronnictwo albo sam w nim będzie rozdarty. Ale człowiek, który ma cośkolwiek do powiedzenia, który rozporządza odrobiną taktu i wytrwałości, ma jak nigdy i nigdzie możliwość wpływania na decyzję ogólną. Nawet taka drobinka, jaką jest zwykły członek wielkiego stronnictwa, człowiek, nie sięgający wzrokiem poza graniczną miedzę swojej rodzinnej wsi, nie umiejący się

wyjęzyczyć, nie wazący ani wysokością swej składki, ani osobistym talentem, jest jednak częstką owej atmosfery ogólnej, ogólnego nastroju, z którym każdy przywódca będzie się liczył, jeżeli chce operować siłą realną. Jest wierutną bajką, jakoby przez dłuższy czas można było tej szarej masie narzucać poglądy, sprzeczne z jej poglądami, interesem i wolą.

A teraz wyobraźmy sobie, że wszystkie stronnictwa zostały zniesione, że na ich miejsce nie wystąpiły ze wzmożoną siłą koterje, kliki i sprzysiężenia, że naród składa się wyłącznie z obywateli wybitnie inteligentnych, stale i starannie badających sprawę zarządu Państwa, poważnych i niesprzedajnych.

I wyobraźmy sobie Sejm przez nich wybrany. Niema w nim możliwości utworzyć żadnej większości, ponieważ zależnie od sprawy, która jest omawiana, grupy kształtują się odmiennie. Żaden Rząd nie jest pewien jutra, nie mając trwałej podstawy. Po sali posiedzeń jak trujące wyziewy snują się plotki, podstępnie rzucane insynuacje, niedorzeczne informacje, których nikt nie ma możliwości sprawdzić. Kilkunastu intrygantów, mających do rozporządzenia parę dzienników, jest w stanie owładnąć opinią zgromadzenia, w którym nieufność i łatwowierność zmieniają się wzajemnie. U dołu, w masie wyborczej, powierzaliby mandaty lekarzom, którzy mają za sobą największą ilość szczęśliwych kuracji, adwokatom, prowadzącym najtańiej procesy, ludziom, zamieszkałym najdawniej w danej okolicy. Kiedyindziej głosowanoby całkiem na-

ślepo. Bryce, znany badacz angielskiej demokracji współczesnych, przyznaje się, że, mieszkając niegdyś w trzystotysięcznym mieście, musiał przy wyborach komunalnych, nie znając żadnego z kandydatów, głosować na listę, na której znalazł nazwisko znanego mu ze słyszenia słynnego hellenisty, przypuszczając, że nie zechciałby on ubiegać się o mandat w złym towarzystwie. Wybór mógł być równie trafny, jak wybór biletu, który ma wygrać na loterii. To pewna, że parlament, któryby pochodził z takich wyborów, musiałby niebawem zrzec się prawa nadzoru nad Rządem, a wkrótce byłby zapewne zredukowany do roli biura rządowego, w którym marszałek lub ministrowie rozdawaliby posłom do opracowania tematy pomniejszego znaczenia.

Oto dlaczego w krajach o ugruntowanych pojęciach politycznych widzi się wady stronnictw, krytykuje się je i usiłuje poprawić, ale nikomu nie przychodzi na myśl znosić same stronnictwa, rozumiejąc, że są one podstawą nie tylko systemu parlamentarnego, ale wogóle życia publicznego w Państwie. We Francji podczas kampanji wyborczej wolno rozklejać afisze jedynie przepisanej koloru i wielkości oraz w miejscach po temu przeznaczonych. W Anglii przekroczenie sumy, jaką wolno wydać na agitację, może za sobą pociągnąć utratę mandatu. W Stanach Zjednoczonych Am. Półn. władza państwowa bada nie tylko księgi rachunkowe stronnictw, ale sposób obioru ich władz. Ale równocześnie w Norwegii od roku 1920

Państwo zapewnia bezpłatny przejazd i płaci deity członkom zgromadzeń partyjnych, które mają ustalić listę kandydatów na posłów, przyczem ilość delegatów każdego stronnictwa oznaczana jest proporcjonalnie do zdobytych w ostatnich wyborach mandatów.

To są względy, któreby należało wziąć pod uwagę zanim się lekką ręką wyda wyrok zagłady na partję. U anglosasów partja jest tylko organizacją do zdobywania władzy, w której Amerykanin lub Anglik wyładowuje swój instynkt walki, jak go wyładowuje w zapasach piłki nożnej, albo w regatach między Oxfordem a Cambridge. Wedle jednogłośnej opinii znawców, program jest tam rzeczą wtórną i zmienną, istotą rzeczy jest przywiązanie do wodzów. U nas stronnictwo ma być czemś więcej. Jeżeli chodzi o demokrację, jest ono oparte na podstawie klasowej i stara się obejmować nietylko czynności wyborcze, ale całokształt ruchu chłopskiego, czy robotniczego. Jest wskutek tego nietylko szkołą życia publicznego, ale ogniwem, łączącym wyborcę niezawsze umiejącego czytać, z Państwem, które jest tworem nowym i dla niego nieznany. Jest zatem czemś w rodzaju wyborów pośrednich, których się tak dopominają nasze sfery konserwatywne.

Można mówić o ulepszeniu stronnictw, pogłębieniu ich programu, zmniejszeniu ich ilości. Ale jeżeli zamiast tego mamy mówić o samem ich istnieniu, postawmy sobie jasno alternatywę. Albo utrzymujemy system parlamentarny i stronnictwa, bez których on funkcjonować nie może, albo oddajemy Polskę w ręce

biurokracji i wtedy nietylko stronnictwa są zbyteczne, ale rozpoczyna się walka celem ich zniszczenia. Wskutek tego stronnictwa, wiedząc, że los ich jest ściśle związany z parlamentaryzmem, broniąc go, będą broniły siebie.

1.XII.27.

WSPOMNIENIE CZYNU LUDOWEGO

ODDAWNA już uroczystości oficjalne, które obchodzimy dnia 11 listopada w związku z przywróceniem niepodległości Państwa Polskiego, usunęły w cień inną rocznicę, bardziej skromną, ale nie mniej miłą sercu demokracji polskiej. Jest nią data 7 listopada roku 1918, dzień utworzenia w Lublinie Rządu Ludowego. Ludziom, których myśl krąży leniwo, jak ślepy koń w kieracie, którzy patrzą na świat, ale niebardzo go widzą, wspomnienie tego dnia wydaje się „ohydą“, dla której potępienia nie znajdują słów dość obelżywych. My, którzyśmy osądu swoich czynów zwykli szukać we własnym przedewszystkiem sumieniu, wiemy, że postąpiliśmy podówczas w Lublinie tak, jak inaczej nie można było postąpić. Jako demokraci, żądaliśmy, jak i dziś żądamy, przedewszystkiem szacunku dla prawa. Jako obywatele, zmuszeni byliśmy iść najkrótszą drogą do stworzenia faktów, po których Polska stałaby się ciałem żywym i dotykalmem.

Nie dla tłumaczenia się, ale dla ożywienia przegastej nieco wiary w Polskę Ludową, chciałbym

wskrzesić wspomnienie dni lubelskich, związanych z niemi nadziei, mieszczących się w nich decyzji.

* *

Czemże przedewszystkiem była Polska pod koniec wojny światowej? Jeżeli chodzi o b. zabór rosyjski, był on poprostu ruiną. Przemysł, któremu systematycznie podcinano żyły, grabiąc mu maszyny i surowce, przestał bezmała istnieć. Robotnik ślaniał się dosłownie z głodu. Chłop, któremu w niektórych okolicach zaczynało się nieco lepiej powodzić, nękany był temniemniej rekwizycjami, brutalną poniewierką, twardym gradem niezliczonych zakazów i nakazów, za którymi nie mógł nadążyć. Wszystko, co było w Polsce zorganizowane, wzięto w żelazne kleszcze albo wręcz rozwalono.

Politycznie był to okres najbardziej gorzkich zawodów. Ci, którzy liczyli na zwycięstwo Anglii i Francji, nie mogli się tych zwycięstw doczekać. Inni, których rachuby opierały się o Niemcy, zmuszeni byli wkrótce z tępotą i brutalstwem najeźdźców rozpocząć walkę, która się zwykle kończyła w więzieniu. Stworzone przez okupantów instytucje, które miały być zaczątkiem Państwa Polskiego, były w istocie rzeczy godną wzgardy igraszką. Żołnierz polski męczył się w obozach dla jeńców, albo ginął za obcą sprawę na froncie. W kraju panoszyła się nędza, nuda i poczucie bezsiły.

Przeżartego niemi społeczeństwa nie można było ani porwać do jawnego oporu, ani nawet skłonić do

przeciwstawienia uciskowi nowych zaborców mocnej, jednolitej woli narodu polskiego. Tej jednolitości nie można było osiągnąć niemal nigdy i w niczem. Wszystkie próby kończyły się zawsze wzmożoną nieufnością wzajemną, niekończącym się szeregiem zarzutów, oskarżeń, złorzeczeń. Typowym tego przykładem był niedoszły w roku 1917 zamach 3 Maja. Postanowiono wówczas mianowicie obwołać niezależnie od okupantów Rząd Polski i Polskiego Regenta. Rząd ten albo otrzymałby od okupantów znaczną część cywilnego zarządu krajem, albo byłby przez nich uwięziony, co posłużyłoby za punkt wyjścia do zorganizowania przeciwko nim oporu. Po nieskończonej ilości posiedzeń, i czynionych przez grupy demokratyczne ustępstw sprawa była omówiona w drobnych nawet szczegółach; pozostawało tylko chcieć i śmieć. W ostatniej chwili rzecz rozbiła się przez niechęć i obawę osoby upatrzonej na Regenta (późniejszego członka mianowanej przez okupantów Rady Regencyjnej) i odmowę stronnictw prawicy. Równie niefortunnie okazały się prowadzone półtora roku później rokowania o wstąpieniu lewicy do gabinetu narodowego - demokracji Swierzyńskiego, ostatniego z gabinetów tworzonych przy okupantach. Tym razem rokowania, które trwały zaledwie kilka godzin, zerwane były przez lewicę po wspaniałomyślnym ofiarowaniu jej 5 ministrów bez teki wobec 13 pełnoprawnych ministrów z prawicy.

Że tak będzie, można było zresztą zgóry przewidzieć. Wszelkie usiłowania doprowadzenia do wyrównania frontu między lewicą a prawicą musiały zawsze

spełznąć na niczem, nietylko dlatego, że przedstawicielstwo klas posiadających, Koło Międzypartyjne, wyłączenie siebie uważało za Polskę, ale głównie i przede wszystkim dlatego, iż jedynym punktem, na którym możnaby było zjednoczyć się z prawicą, była bierność podniesiona do godności najwyższego nakazu polityki narodowej. Bierność w stosunku do wszystkich i do wszystkiego.

Oczywiście możliwość walki fizycznej z najazdem była znikoma. Ale kiedy my chcieliśmy przynajmniej skupić siły do tej walki we właściwym momencie, kiedy chcieliśmy uczyć ludzi być wolnymi w duszy i walczyć o wolność, panom z prawicy wydawało się najwyższą mądrością polityczną nie dostrzegać wojny, która pustoszyła ziemie polskie.

Nie chcieli oni korzystać ze względnej możliwości bezzwłocznie po wyjściu Rosjan z Warszawy, ani tem mniej skupić się do skoku od chwili ostrych represyj przeciwko wszystkiemu, co nie chciało naślepo iść za najeźdźcą. W tych warunkach jedność narodowa stawała się nietylko pojęciem bez treści, ale fikcją szkoldliwą.

A tymczasem zbliżał się moment, kiedy znalezienie przez Polskę słowa, przez które stałaby się Państwem, było sprawą życia lub śmierci. Było wiadoczne, że zbliża się koniec straszliwej tragedji wojennej. Przeszło od roku legła w gruzach potęga caratu. Na polach dalekiej Francji toczyły się ostatnie, śmiertelne zapasy. Siedząc w ciasnej izbie polskiej o oknach zabitych deskami, nie zdawaliśmy coprawda

dość dokładnie sprawy, jak dalece wynik tych zapasów był już przesądzony oddawna, jak bardzo przewartościowana do rdzenia była potęga Niemiec. To jedno wiedzieliśmy jednak napewno: albo Niemcy zwyciężą i trzeba będzie natychmiast organizować przeciwko ich zachłanności odpór, jak się go organizowało przeciwko przemocy rosyjskiej, albo Polska zostanie sama. W tem, że Polska mogła pozostać sama, mieściło się najwyższe szczęście i pierwsze groźne niebezpieczeństwo. Nie dosyć było odzyskać niepodległość, trzeba ją było utrzymać. Trzeba ją było obronić przeciwko wrogom zewnętrznym, którzy nawet w upadku swoim byli w stosunku do nas potęgą. Trzeba było w czasie możliwie najkrótszym i bezmała z niczego zbudować podwaliny Państwa, które musiało zacząć pełnić swe niezliczone czynności; postawić Polskę na nogi, by mogła iść dalej. Trzeba wreszcie było miljonowy tłum wczorajszych niewolników przekształcić na naród, świadomy swojej siły i swoich płynących z niej obowiązków.

Nie było to łatwym zadaniem. Stuletnia przeszłość niewola oduczyła nas widzieć w Państwie coś, czego jesteśmy świadomą i dobrowolną częścią. Na olbrzymich połaciach zaboru rosyjskiego oduczyła nas także czuć się częścią Europy, w której świat pracy zaczął już oddawna wywalczać sobie lepsze prawo do życia i jaki taki bodajby szacunek. U nas między „dołem”, który w najlepszym razie traktowano z sentymentalizmem, niewolnym od domieszki pogardy, a „górami”, która nietylko chciała żyć, ale chciała dobrze żyć,

wciąż jeszcze leżała przepaść. Cztery lata bestjalskich mordów, grabieży i bezprawii, lata nędzy i poniewierki, zatrwały dusze ludzkie zdziczeniem. Od Wschodu szły podmuchy barbarzyńskiego buntu, ślepego wybuchu nienawiści, który pozostawiał po sobie nagą spaloną ziemię i zgrozę, wiszącą w powietrzu.

Nie byliśmy pewni, czy nasz tłum, pozostawiony sam sobie, nie wybuchnie tak samo gniewem, który byłby aż nadto usprawiedliwionym, ale który uniemożliwiłby nam rozpoczęcie budowy Państwa, stając się żywiołową katastrofą. Na wielkim zjeździe ludowym, który zwołało „Wyzwolenie” w pierwszych dniach listopada roku 1918, trzeba było bezmała groźbą odejścia od wszelkiej wspólnej pracy powstrzymać uczestników od natychmiastowego wybuchu.

Rozpocząć w tych warunkach ślimaczące się układy z prawicą, wejść w bezecny targ o ochłapy władzy, któreby nam nie dały możliwości niczego powstrzymać i niczemu zapobiec, a któreby nas oderwały od masy — wydało się nam szaleństwem. Dziś, po 9 latach, patrząc na te sprawy spokojnie, myślę, że byłoby to nawet przestępstwem. I myślę, że słuszne było, iż postanowiliśmy wziąć całą władzę w rękę i całą za nią odpowiedzialność. Ludziom o ptasich mózgach podobało się nazwać to buntem. Bunt? przeciw komu? przeciwko okupantom, których my pierwsi zaczęliśmy rozbrajać w Lublinie i przeciwko którym chcieliśmy iść z dwoma oddającymi się nam bataljonami wojska polskiego na Warszawę? Czy przeciwko trójąłowej Radzie Regencyjnej, której gotów jestem

przyznać dobrą wolę, stateczność, rozsądek i co tam kto chce jeszcze, ale która na wszystkich trzech panów nie miała jednego mocnego grzbietu pacierzowego a która pod względem społecznym była ciężkim niemieckim żartem z polskiego robotnika i polskiego chłopca. Najmniej zaś już chyba zbuntowaliśmy się przeciwko rządowi ówczesnemu, który nawet niedołężni starcy z Regencji zdmuchnęli z łatwością za pierwszą próbę oporu. Wyrwaliśmy poprostu władzę z rąk, w których się ona podówczas jedynie znajdowała: z mdlejących rąk niemieckiego i austriackiego żołdaka.

Wiedzieliśmy aż nadto dobrze, ile to nas, demokrację, będzie kosztowało. Zdawaliśmy sobie sprawę, ile przekleństw padnie na nas za każdy brakujący funt chleba lub cukru, za stojące fabryki, których nie można było puścić z dnia na dzień, za pieniądze, które musiały zacząć spadać. Gdybyśmy chcieli grać, nie byłoby nic prostszego, jak oddać władzę ludziom z prawicy i zagarnąć ją po niej, kiedy ich wściekłość mas trąci. Ale my nie chcieliśmy grać. Nie chcieliśmy też sięgać po władzę dyktatorską na stałe. Na drugi dzień po stworzeniu Rządu Lubelskiego rozpoczęliśmy na Radzie Ministrów dyskusję o ordynacji wyborczej do Sejmu. W kilkanaście dni później w Warszawie dyskusja ta zakończyła się wydaniem dekretu, zwołującego Sejm. To był naturalny kres naszej władzy i naszej twardej służbie Ojczyźnie.

Myślę, że nie mamy czego się wstydzić tych wspomnień. Gdybym drugi raz żył, postąpiłbym tak

samo. Mam wstręt do wszystkich dyktatur, które wyłącznie sobie przypisują prawo tłumaczenia woli narodu. Ale podówczas potrzeba było przede wszystkim czynu szybkiego jak ogień i jak kamień twardego. Od tego zależało, czy Polska powstanie, a przynajmniej czy nie będzie od urodzin kaleką... Tem lepiej zaś, że równocześnie mogliśmy dowieść sobie i innym, że lud polski bez niczyjej opieki, protekcji i pomocy mógł rządzić Polską przez parę miesięcy, dając Państwu pierwsze ustawy. Niektóre z nich są przecież po dziś dzień fundamentem naszego prawnego porządku.

4.XII.27.

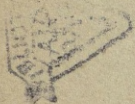
Książeczka niniejsza jest zbiorem artykułów dziennikarskich, drukowanych w ciągu ostatniego półtora roku w kilku pismach warszawskich. Trzy jej rozdziały są wywiadami lub odpowiedzią na ankietę dzienników „Głos Codzienny”, „Głos Prawdy” i „A. B. C.”, oraz tygodników „Świat” i „Tygodnik Ilustrowany”. Trzy dalsze rozdziały: „Dwie zasady”, „Wartość Sejmu” i „Naprawa Sejmu” umieszczone były w niewychodzącym już tygodniku „Ster”. Ostatni artykuł umieszczony był w „Robotniku”. Reszta, a zatem przeważająca część niniejszej broszurki, są to artykuły dyskusyjne z „Kurjera Porannego”, któremu na tem miejscu składam podziękowanie za niezwykle lojalne udzielanie mi prawa niczem niekrępowanego głosu na łamach swojego pisma, jakkolwiek głos mój niejednokrotnie był całkiem różny od zasadniczej jego linii politycznej. Wszystkie artykuły przedrukowane są bez zmiany, oprócz usunięcia pomyłek druku.

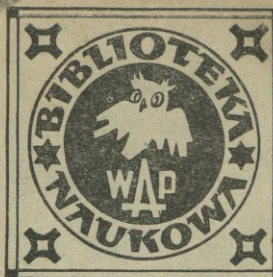
15. —

1455/21459

S P I S R Z E C Z Y:

SŁOWO WSTĘPNE	5
PRZESILENIE, KTÓRE TRWAŁO 3 GODZINY („Kurjer Poranny”)	9
WYWIAD W „KURJERZE PORANNYM”	18
CZY PARLAMENTARYZM ZAMIERA (Ankieta „Świata”)	27
DWIE ZASADY („Ster”)	32
SEJM A OPINJA („Ster”)	41
NAPRAWA SEJMU („Ster”)	49
OSTATNI AKT („Kurjer Poranny”)	58
JAKI MA BYĆ USTRÓJ POLSKI? (Ankieta „Głosu Prawdy”)	67
PRAWO DO GŁOSU („Kurjer Poranny”)	69
WARTOŚĆ OBECNEGO RZĄDU I JEGO SYSTEMU (Ankieta pisma A. B. C.)	80
W SPRAWIE KOMUNIZMU (Ankieta „Głosu Codziennego”)	85
SEJM A RZĄD („Kurjer Poranny”)	90
NAUKI FRANCUSKIE („Kurjer Poranny”)	99
POWODY OPOZYCJI („Kurjer Poranny”)	105
PARLAMENTARYZMADEMOKRACJA („Kurjer Poranny”)	115
U SCHYŁKU DRUGIEGO SEJMU (Wywiad w „Tygodniku Ilustrowanym”)	123
PARTYJNOŚĆ I PARTYJNICTWO („Kurjer Poranny”)	128
WSPOMNIENIE CZYNU LUDOWEGO („Robotnik”)	137





10706/

1